Nr. 423. (Wydanie popołudniowe). We Lwowie czwartek dnia 11 września 1902 r. Rok XXXV.

Prenumerata wynosi:
we Lwowie:
miesięcznie 2 korony; — za dwurazową dostawę do domu dopłaca się 60 halerzy;
na prowincji:

z jednorazową przesyłką:		z dwurazową przesyłką:	
rocznie	30 K — h	rocznie	36 K — h
kwartalnie	7 „ 50 „	kwartalnie	9 „ — „
miesięcznie	2 „ 50 „	miesięcznie	3 „ — „

W Niemczech miesięcznie 3 M. 50 fen.
W innych krajach miesięcznie 4 Fr.

Rękopisów Redakcja nie zwraca.

Adres: „Dziennik Polski“ — Lwów, plac Marjacki l. 7. Telefonu Nr. 151.

DZIENNIK POLSKI

wychodzi 2 razy dziennie.

Ogłoszenia.
Za jeden wiersz petitowy albo jego miejsce 20 halerzy
Za jeden wiersz petitowy w rubryce *Nadesłane* 40 halerzy
Drobne ogłoszenia po 3 halerze za słowo. Najmniejsze ogłoszenie 30 halerzy.
Ogłoszenia o ślubach, zaręczynach i inne prywatne komunikaty po *Kronice* za jeden wiersz petitowy 60 halerzy.

Numer pojedynczy:

we Lwowie:		na prowincji:	
poranny	3 halerze	poranny	5 halerzy
wieczorny	8 halerzy	wieczorny	10 halerzy

List z Wiednia.

Wiedeń 8 września.

Uznany organ p. Koerbera, *Montagsrevue* zaczyna artykuł wstępny od zapewnienia, że rokowania pomiędzy rządem austrjackim, a węgierskim, wydadzą zadowalniający rezultat Jest to pierwszy raz od czasu rozpoczęcia rokowań, że inspirowany organ wyraża się z taką pewnością. To też zamiast dotychczasowych polemicznych wycieczek przeciw Węgrom, artykuł w dalszym ciągu zajmuje się już tylko szansami ugody w parlamencie austrjackim. Zupełnie słuszne uznanie wyraża *Montagsrevue* stronnictwom austrjackim ze zachowania podczas rokowań rezerwy; w tej rezerwie tkwiło wotum zaufania dla rządu austrjackiego, które też wzmocniło jego pozycję wobec rządu węgierskiego.

Z rezerwy pierwszy wystąpił prezes klubu czeskiego p. dr. Pacak. *Montagsrevue* czyni dr. Pacakowi zarzut, że bez żadnego bezpośredniego powodu, zatrąbił na alarm i zapowiedział wojnę w chwili, kiedy taka zapowiedź osłabić mogła powagę austrjackich pełnomocników wobec rządu węgierskiego.

Z naszego stanowiska mamy pełne zrozumienie dla ciągłej czujności Czechów i pełną sympatję dla ich narodowych postulatów; nie po raz pierwszy jednak wytknąć musimy sposób walki. Od szefa wielkiego i poważnego stronnictwa wymaga się większej ostrożności i większej rezerwy, niż od zwykłego pionka parlamentarnego. Pan dr. Pacak jednak bez żadnego rozsądnego powodu, nie nagabywany i nie prowokowany, wśród ciszy letniej strzelił nagle z najcięższego działa. Dla nas arsenał broni parlamentarnej zawiera wszystko — krom obstrukcji. Naród, który przez *liberum veto* wolność utracił, do takiej broni nigdy już nie sięgnie i nikomu ze swych przyjaciół sięgnąć nie pozwoli. Za swawolę zaś wręcz uważać musimy chociażby groźbę obstrukcji, wypowiedzianą w chwili zupełnego spokoju i bez żadnej prowokacji.

Obstrukcja stanowczo należy już do historji, jako smutny epizod i objaw chwilowego obłędu; żadne poważne stronnictwo nie powinno używać jej jako groźby. Czują to i Czesi, bo wiemy, że zaraz drugi poważny przewódca, p. dr. Zaczek, zgoła w innym przemówił tonie, a nawet radykalni agrarzyści czescy dali panu Pacakowi bardzo wyraźną i bardzo bezwzględną odpowiedź. Organ tego stronnictwa przyłącza się w zupełności do wywodów p. Zaczka i oświadcza, że agrarzyści bezwarunkowo w tym kierunku działać będą. Główny nacisk położą na zdobycie trwałych, ekonomicznych korzyści, bacząc przytem pilnie na zachowanie stanowiska narodowego. Zdecydowani są do radykalnej opozycji, jeśli uznają ją za użyteczną i konieczną, ale skoroby, zdaniem ich, opozycja szkodę przynieść miała, sami pierwsi przeciwko niej się zwrócą, chociażby propagowały ją inne stronnictwa czeskie.

Pan dr. Pacak okazał się więc w tym wypadku radykalniejszym od radykalnych czeskich agrarzystów, a co dziwniejsza, uczynił to w chwili absolutnie niestosownej i — na razie przynajmniej — zupełnie niepotrzebnie. Jeśli obstrukcją na każdym kroku grożą Schönerer, Hofer czy Iro, to nie ma w tem nic dziwnego. Stronnictwo, do którego programu wchodzi rozkład monarchji austrjackiej, wybiera też broń, która najpewniej do tego celu prowadzi. Ale nawet i to stronnictwo pod presją wyborców, tłumi do czasu obstrukcję, ażeby nie przeszkadzać urzeczywistnieniu postulatów ekonomicznych.

Zdaje się też, że p. dr. Pacak bawiąc od dłuższego czasu nad Bałtykiem, stracił chwilowo czucie z własnym klubem, a zapowiedziana konferencja przywódców czeskich pouczy go, że Czesi bynajmniej do obstrukcji nie wzdychają.

Sprawiedliwość każe nawet wyznać, że ze strony poważnej prasy niemieckiej brakło w ostatnim czasie wszelkiej prowokacji, którąby usprawiedliwić mogła drażliwość pana Pacaka. Nie wiadomo jeszcze jak zachowają się Niemcy przy zapowiedzianych rokowaniach z Czechami, zaczynać zaś rokowania od groźb znaczy postępować i nie pięknie i nie politycznie. Jeśliby rokowaniom towarzyszyły ciągle alarmy wojenne w sprawie czeskiej, skutek byłby ten, że nawet najumiarkowańsi Niemcy nie mogliby zgodzić się na żadne ustępstwa, z obawy przed radykalną opozycją we własnym obozie.

W każdym razie zdaje się rzeczą konieczną, by przywódcy czescy zebrali się na konferencję i uchwalili zgodną taktykę, bo dotychczasowe występy na własną rękę osłabiają powagę stronnictwa i czynią wszelkie rokowania niemożliwemi.

(*r.*)

Ochrona ludu polskiego na Rusi.

Grzymałów 31 sierpnia.

Jednym z wielkich grzechów politycznych, popełnionych przez Polaków w przeszłości, było lekceważenie i beztroska o wychowanie ludu polskiego, osiadłego na ruskiej ziemi. Troszczono się tylko nad sprowadzeniem, ściągnięciem ludu roboczego na obszary bezludne i pustkowia, spowodowane najazdem tatarskim. Ruś bowiem narażona była na pierwsze ataki pogan, bo gdzie Tatarzy zapuścili swe zagony, tam straszne za sobą zostawiali spustoszenia, ruiny i zgliszcza; co mogli zrabowali, resztę spalili, ludzi młodych, a zwłaszcze kobiety w jasyr zabierali. Pierś polska zasłaniała i broniła ten kraj i uratowała od zagłady. Na pustkowiach zakładano osady i sprowadzano lud z Polski, Mazurów i innych nacyj, osadzano na roli z obowiązkiem pewnej robocizny i poddaństwa. O potrzeby duchowe, o zabezpieczenie od wynarodowienia tego ludu nikt się nie troskał, bo lud wogóle uważano za inwentarz roboczy. Lud nie był „narodem“, tylko chleborobem. Wprawdzie szlachta budowała liczne cerkwie, a gdzieniegdzie i kościoły, ale te ostatnie więcej dla swojej potrzeby niż dla ludu. Osadowieni Mazurzy pozostawali bez opieki duchowej, bez troski o zachowanie ich indywidualnej cechy narodowej, z modłami swemi udawali się do cerkwi i tam szukali pociechy religijnej i zwolna zapominali o swoim kościele i języku — asymilowali się z tubylcami Rusinami. Takim sposobem Ruś pochłonęła mnóstwo ludu polskiego, nawzajem zaś Polska swoją wolnością szlachecką i wyższą kulturą przyciągnęła do siebie ruską szlachtę i kniaziów i ci, jako równi z równymi i wolni z wolnymi, bratali się z szlachtą polską i w niej tracili swoją barwę narodową ruską, przyjmując język i obyczaje polskie. Ruś jednak lepiej wyszła na tej zamianie. Polska w ruskiej szlachcie zyskiwała głów tysiące, gdy Ruś krocie ludu polskiego.

Polacy nie mieli nigdy manji światowładczej ani chęci zaborczej i narzucania drugim narodom swojej wiary, języka i narodowości, nikogo podstępem ni siłą nie starali się podbić, przerobić, przenarodowić — tak, jak to czynią Anglicy i Niemcy. Gdyby Polacy choć w części stosowali system angielski lub niemiecki na Rusi, to dzisiaj z pewnością nie byłoby kwestji ruskiej ani ukraińskiej, — bo nie byłoby Rusinów na ruskiej ziemi. Polacy nie narzucali Rusinom swojej kultury, nie zmuszali ich do porzucania swojej wiary i języka, lecz przeciwnie, stawiali im świątynie, gdzie się mogli swobodnie modlić i nabożeństwa odprawiać w swoim języku i rytuale. Rusinom dawali wolność i swobodę w wyznawaniu swej wiary i utrzymywaniu języka, ale o swoich Mazurów zupełnie nie dbali i pozwolili im niepotrzebnie utonąć w ruszczyźnie, gdzie dla Polski zostali na zawsze straceni.

Ale co się stało, to się nie odstanie. Zruszczonych przed wieki Mazurów nie spolszczymy napowrót, prędzej który ze szlachty powróci do dawnej ruszczyzny (jak Szeptycki), niż starego Mazura odszuka między ruskim ludem. Teraz idzie nam o zapobieżenie dalszej utracie Mazurów. Proces ruszczenia ludu polskiego odbywa się i teraz. Mnóstwo Mazurów osiadłych na Rusi traci zwolna swój język i poczucie swojej narodowości, nie powiem polskości, bo tę u ludu rzadko spotkać można, i pomimo obrządku łacińskiego, mówi chętniej i łatwiej po rusku, a gdzie w oddaleniu od kościoła uczęszcza do cerkwi i w drugiem, trzeciem pokoleniu przyjmuje obrządek grecki — odpada od kościoła i narodu polskiego.

Ale zaradzić temu trudno, bo na budowę kościołów i fundowanie parafij potrzeba sum ogromnych, a publiczność polska różnemi ofiarami i składkami tak wyssana, że trudno będzie jeszcze i na ten cel coś wyciągnąć. Tutaj mógłby rząd z funduszów kościelnych, które zabrał przed laty, łożyć na budowę kościołów i uposażenie nowych parafij.

Ruszczenie naszych Mazurów najszybciej odbywa się w wieku dziecięcym. Dzieci polskie obcując z dziećmi Rusinów przyzwyczajają się szybko do ruskiego języka i łatwo zapominają swój macierzysty. Zdarzają się wypadki, że rodzice Mazurzy osiedli tu dopiero od lat kilku, a dzieci ich 4 i 5-letnie rozmawiają z nimi po rusku. Starzy śmieją się z tego i pozwalają dzieciom na przyswajanie ruszczyzny, która w codziennem życiu jest im potrzebna — nie zważając, że tym sposobem zapominają swój język ojczysty i zatracają swoją narodowość. Temu ruszczeniu, obok kościoła, zaradzić może ochronka pod opieką zakonnych mateczek. Osoby zakonne mają za podstawę wychowanie na tle religijnem nie bawią się w politykę i nie zaszczepiają w dzieci nienawiści rasowej.

Dla zabezpieczenia cechy narodowej naszego ludu polskiego, osiadłego na Rusi, koniecznem jest zakładanie jak najwięcej takich ochronek dla dzieci, a możemy być pewni, że ochronimy dzieci polskie od przedwczesnego ich ruszczenia i zapobiegniemy pomnażaniu Rusinów łacińskiego obrządku. Nie polonizowaliśmy nigdy, więc i teraz nie mamy zamiaru polonizować Rusinów, ale też nie bądźmy obojętni na wynaradawianie ludu polskiego na ruskiej ziemi: — ochraniajmy naszych Mazurów od ich zruszczenia.

W myśli tej pożytecznej pracy narodowej właściciele Grzymałowa z przyległościami, namiestnik i hr. Stanisław Pinińscy wybudowali taką ochronkę na Mazurówce tuż przy Grzymałowie i dnia 25 sierpnia odbyło się jej poświęcenie i otwarcie. Po nabożeństwie w kościele grzymałowskim, odprawionem przez tutejszego proboszcza, ks. Walantego, zgromadzeni poszli procesjonalnie na Mazurówkę do nowo wybudowanego domu i tu po zwykłych modłach ks. Walanta poświęcił dom i przemówił pięknie zwracając się do młodej hrabianki, Julji Pinińskiej, polecając tę pożyteczną instytucję jej protekcji i opiece.

W uroczystości tej wzięli udział jako gospodarz hr. Stanisław Piniński z córką, dyrektor dóbr grzymałowskich Edward Cwierzewicz, naczelnik sądu Grzędzielski, dr. Wojtkowski i wielu z inteligencji, którym obowiązki w tej porze pozwalały, oraz panie grzymałowskie. Mnóstwo też było dziatwy z matkami i wszystkie otrzymały poświęcane medaliki. „Mateczek“ było kilkanaście, zjechały się tak z okolicy bliskiej jak i dalszej, rade z powstania nowego domu, pożytecznego dla dobra ludu i św. wiary. O pierwszej godzinie było przyjęcie w zamku, gdzie zaproszonych uczestników tej uroczystości, księży, oraz mężczyzn z inteligencji hr. Stanisław Piniński ugościł szczerze i serdecznie.

Szczęść Boże tej pożytecznej instytucji!

Józef L.

Z galicyjskiej Kalifornji.

(*Od naszego korespondenta*).

Borysław 8 września.

Las wież wiertniczych... Wyrosły pod wpływem znanej gorączki naftowej w przeciągu ostatnich lat kilku, jaka ogarnęła Borysław. Stoją jedna obok drugiej w różnych odstępach, smukłe, kuszące... Osmarowane, jak dusza potępieńca, to ropodajne, — białe, czyste i niewinne, to dopiero wieże przyszłości, każące wierzyć w wybuch .. ropy.

Niektórzy wróżą Borysławowi przyszłość Schodnicy. Nadzieje zdaje się bardzo przesadzone. Na wszelki sposób punkt ciężkości kopalnianej Borysławia wciąż jeszcze stanowi lepki, rudawo-żółty, jak fryzura paryskiej kokoty, wosk ziemny. Jestto nasze galicyjskie złoto. Stąd słuszna nazywać Borysław galicyjską Kalifornią. Aż do obecnej chwili wyeksploatowano z Borysławia wosku wartości około 150 miljonów złr. Drugie tyle, a może i więcej jeszcze w ziemi spoczywa.

Zwiedziłem temu dni parę owo wsławione „piekło borysławskie“. Nazwa już dzisiaj stanowczo archaiczna. Jakże się zmieniły w ostatnich latach stosunki owe, które Gruszecki opisał w znanej powieści „Dla miljona“. Ostatnia „ustawa górnicza“ zmiotła formalnie wszystkich mniejszych eksploatatorów wosku. Ostał się z nielicznymi niedobitkami „bank galicyjski“, spadkobierca „banku kredytowego“ i „Laenderbank“. Obydwaj są dziś istotnie mohikanami przemysłu woskowego eksploatacyjnego w Borysławiu.

Szczęśliwym trafem natknąłem na bardzo inteligentnego i fachowego przewodnika. Był nim inżynier górniczy, znajomy mój, który zwiedzał również Borysław i jego osobliwości.

Zaczęliśmy od kopalni obecnie banku galicyjskiego. W kancelarji nie zastaliśmy ani dyrektora Gąsiorowskiego, ani inżyniera Łukaszewskiego. Okazało się, że obaj byli w kopalni. Dzięki jednak energji mojego przygodnego „cicerona“ oprowadzono nas wszędzie i pokazano wszystko. Mój znajomy był zbudowany energją, z jaką kierownicy kopalni osobiście wglądają i nadzorują wszystko. Poprostu nadziwić się nie mógł różnicy stosunków, jaka na ten temat wytworzyła się między tem, co było jeszcze przed kilku laty, a jest dzisiaj.

Kontrola bezpieczeństwa w kopalni wosku wysubtelniła i zaostrzyła się do bardzo dalekich granic, o jakich jeszcze nikt nie myślał przed kilku laty. Co prawda stan taki podyktowały same stosunki kopalniane. Podczas kiedy dawniej pracowano najdalej w głębokości 100 metrów, dziś obniżyły się kopalnie do 260 metrów i niżej. Wraz ze zdwojeniem się pogłębienia, wzrosły trudności i niebezpieczeństwa.

Kopalniom wosku towarzyszą one stale i to w bardzo groźnej liczbie. Stąd to kopalnie wosku zaliczają się do najtrudniejszych. Ciśnienia warstw górnych jest tu tak duże, iż łamie choćby najgrubsze drzewo, żelazo, kruszy powoli najgrubsze betony.

Bank galicyjski ma z tem wiele kłopotu. Znosi go z tem większem zniechęceniem, że jest jeszcze wciąż pod wrażeniem znanej niedawnej klęski zatopienia wodą. Niebezpieczeństwo samo, jakie z tem było połączone, w przeważnej części usunięto, ale nie zupełnie. Całą masę wody, stąd powstałej, zgromadzono za olbrzymią tamą z wielkim i poprostu gorączkowym trudem i kosztem zbudowaną. Uwięziona tam i spiętrzona do wysokości kilkudziesięciu metrów woda, warczy tam, szumi i grozi, jak ów zamknięty rozrozwścieklony zwierz, wypadnięciem i nową klęską. Mój towarzysz bynajmniej nie zazdrości kierownikom tej kopalni ich sytuacji i naprawdę podziwia ich wytrwałą energię, z jaką w takich warunkach pracują.

Jeszcze z większem zaciekawieniem zwiedzałem kopalnię Laenderbanku. Bez porównania rozleglejsze i bardziej produktywne od swego konkurenta. Do dygnitarzy jednak kopalnianych mieliśmy tu widoczny pech. Znowu nie zastaliśmy żadnego z nich w kancelarji. Pokazało się, że tak dyrektor radca Szumski, jak i obydwaj inżynierowie zjechali do głębi. Pocieszając się nadzieją zobaczenia ich tam, rozpoczęliśmy „interwiewowanie“ robotników kopalni na temat ostatniej znanej katastrofy, jaka nawiedziła „Laenderbanku“ kopalnie.

O owym fatalnym poniedziałku w którym zdarzyła się katastrofa, wspominają z jakimś mistycznym strachem. O p. Szumskim i jego znalezieniu się owej krytycznej chwili, opowiadają z widoczną wdzięcznością, niemal ze łzami. Pytam raz jeszcze o szczegóły. Opowiadają... Świt był jeszcze szary, kiedy złowrogie dymy z szybu się pokazały. Natychmiast telefonicznie dano znać dyr. Szumskiemu. Na pół ubrany przybył na miejsce wypadku. Bez namysłu kazał się spuścić do kopalni sam jeden. Za parę chwil zjechał tam za nim dozorca Grossman. Wystawiając się niemal na pewną śmierć, ci dwaj ludzie wydobyli z głębokości 260 m. prawie 18 ludzi, włokąc ich z nadludzkim wysiłkiem do szybu, skąd ich maszyna na światło dzienne wywiozła. Były trupy, byli konający i żywi, lecz nieprzytomni. Robotnik, który to opowiadał, łzy miał w oczach. Część z nich była łzami wdzięczności za czyn heroiczny obu tych ludzi.

Pod wpływem tego przygnębiającego opowiadania, zabraliśmy się do zwiedzania kopalni.

Najwięcej uwagi poświęca się tzw. szybowi głównemu. Wydobywają nim kamienie i wosk zapomocą olbrzymiej maszyny parowej. Tym samym szybem zjeżdżają i wyjeżdzają robotnicy. Szyb sąsiedni, znacznie mniejszy, służy tylko do wypompowywania wody i wentylacji. Obie te niejako paszcze kopalniane oprawne są w całości aż do głębokości 300 m. w gigantycznych rozmiarów żelazne pierścienie. Ciśnienie warstw na owe pierścienie jest tak duże, iż mimo swej kolosalnej wytrzymałości bardzo często poddają się one i nowemi zastąpić je trzeba.

Bardzo zajmującą jest t. zw. topiarnia wosku. Oglądałem tu z wielkiem i naturalnem zainteresowaniem, jak się wosk ziemny, wydobyty na powierzchnię ziemi, sortuje na rozmaite gatunki, wedle swej topliwości, jak się topi, do form zlewa i do magazynów składa.

Magazyny puste... Pytam o powód. Pokazuje się, iż popyt o wosk jest dziś tak wielki, iż co się jednego dnia wyprodukuje, to się zaraz następnego niemal dnia wywozi koleją. Cena wosku obecnie jest ogromnie wyśrubowana i wynosi 600 zł. za wagon. Sam Laenderbank produkuje miesięcznie 12 takich wagonów, czyli miesięcznie za 72 tysiące zł., co czyni rocznie okrągły miljon. Jeżeli się zważy jednak, iż sprawozdania Laenderbanku wykazują jednak rocznie z wosku ledwie... kilkaset koron zysku, to widać bardzo plastycznie, jakie kolosalne koszta pochłania taka kopalnia wosku na cele eksploatacji.

Przez cały ten kilkugodzinny czas, jaki poświęciłem oglądaniu szczegółów kopalni na powierzchni, dyrektor Szumski ze swymi inżynierami bawili w głębi. Spotkałem ich później. Są zmęczeni i widocznie wyczerpani. Podziwiam tę sumienną wytrwałość i sumienne pojmowanie obowiązków, ale osobiście im nie zazdroszczę.

Zawiązuje się bardzo żywa rozmowa na temat ostatniej katastrofy i jej „precedensów.“ Pokazuje się, iż mimo najsumienniejszego dozoru i jak najlepszych urządzeń technicznych, nigdy niebezpieczeństwo eksplozji gazów w kopalni wosku ziemnego wykluczonem nie będzie. Samej eksplozji gazów wybuchowych nikt nie jest w stanie przewidzieć. Stawiam kwestję, jak wygląda kontrola szybów i chodników wewnątrz kopalni. Jest bardzo sumienna, bezpośrednia i jak można najbardziej szczegółowa. Inżynierowie kopalni muszą codziennie całą objechać, wszystko osobiście widzieć, zadecydować i „tam na górze“ zdać sprawozdanie.

Radca Szumski nie poprzestaje na tem, ale zjeżdża parę razy w tygodniu do głębi — i tam naocznie wszystko sprawdza. Robotnicy są dlań z ogromnem uznaniem. Co spowodowało ostatnią klęskę, która pochłonęła 18 robotników, zbada to i rozpatrzy specjalna komisja śledcza, którą, jak wam wiadomo, powołało ministerstwo rolnictwa. Wyniku tego śledztwa oczekują tu z wielkiem naprężeniem... (*Emw*).

Trafna odprawa.

Jak było do przewidzenia, prasa rosyjska nie zachowała się obojętnie względem wizyty cesarza Wilhelma w Poznaniu, ale wydarzeniu temu i jego głównemu punktowi — mowie cesarskiej, poświęciła mniej lub więcej znamienne komentarze.

Birż. wied. widzą przedewszystkiem w mowie cesarza Wilhelma „grubą nieścisłość chronologiczną“, jaką monarcha popełnił, mówiąc „o węzłach serdecznej przyjaźni i oręża“, łączącej

---

49)

MARJA RODZIEWICZÓWNA.

Wrzos

POWIEŚĆ.

A tymczasem Wolska wróciła do domu; narzeczony, zbywszy pańszczyzny, ulotnił się do hotelu, kobiety zaczęły sejmować.

— Jakto? Sam prezes? A Andrzejowie? — pytały córki.

— Ona niby u rodziny! On niby w Grodzisku! — odpowiedziała, brwi wznosząc Józia.

— To podejrzane! — zabrzmiał chór.

— Bardzo! — rzekła stara. — A szczególnie dlaczego? — wiecie?

— No, no? Dlaczego? Zauważyła coś mama?

— Z miny starego — nie! To filut! Ale z jego postępowania! On — zanadto hojny!

— Jakto?

— Ano — Kostuni Dąbrowskiej dał raptem dwa dywany, Zosi Zwolińskiej pierścionek, a Józia, wiecie, co dostanie?

— Co? Co? — pytały pół ciekawie, pół zawistnie.

— Całe stołowe srebro i kolczyki.

Józia była czerwona z radości, tamta czerwona z zazdrości i żalu.

— Srebro i kolczyki! Mój Boże!

— To podejrzana! On się przymila do nas!

— Musi tam coś być — ale co?

— Dowiemy się! — dopowiedział chór.

W trzy dni potem wiedziały i wiedziało pół Warszawy, że Andrzej porzucił żonę i pojechał z panią Celiną zagranicę, w tydzień mówiono, że odesłał już przedtem żonę do rodziny, bo ją zastał u Radlicza na schadzce, gdy mu w pracowni pozowała w stroju — żadnym...

A tymczasem rzeczywiście na Marszałkowskiej prezes był wciąż sam.

Od Kazi otrzymał list, że babka umarła, a macocha ciężko zasłabła, w parę dni potem depeszą został wezwany do Gurowa doktor Downar i wieści się urwały.

Co prawda, mniej to gryzło prezesa, jak nieobecność syna.. Gdy się przekonał, że go nie ma w fabryce, parę dni udawał swobodę, ale gdy się dowiedział, że pani Celina wyjechała i Kolecki znowu go napadł o obraz Radlicza, stary postanowił rzecz wyjaśnić i posłał kartkę, prosząc malarza do siebie.

Radlicz stawił się natychmiast. Prezes się nim opiekował w szkołach, był mu jak krewny, zresztą myślał, że ujrzy Kazię.

Ale dom wiał pustką i chłodem, stary był chmurny i stękający.

— Powiedz mi, mój drogi, czy to być może, żeby Andrzej za tą starą awanturnicą poleciał?

Radlicz wobec troski starego poczuł wyrzuty sumienia i niebywałe postanowienie mówienia prawdy.

— Co znowu! To ona od niego uciekła!

Prezes nagle o dziesięć lat odmłodniał.

— Nie może być? Bajesz, byle mnie pocieszyć! Naprawdę go rzuciła? A on? Co?

— On desperuje. Chciał gonić i strzelać! Alem wyperswadował! Pojechał do Kijowa, żeby się otrzeźwić!

— I tydzień tam siedzi! To nie może być! Albo łżesz, albo sam prawdy nie znasz!

— Że baba drapnęła, wiem, że on desperował, wiem, żem go wyprawił, by ludziom zeszedł z oczu, też wiem, a czy potem poleciał za nią, tego nie wiem!

Prezes znowu o dziesięć lat zestarzał.

— Co teraz czynić! Warszawa się trzęsie od plotek. Czy ten człowiek ma sumienie! On mnie do grobu wpędzi! Naturalnie, poleciał za nią, to jasne jak słońce. Szatan nie kobieta. Piekło ją porodziło na moje nieszczęście. A tu, na domiar złego, Kazia tam siedzi nad chorą macochą! Wszystkie pozory przeciw niemu.

Radlicz, który plotkę sam stworzył, milczał.

Prezes począł chodzić po pokoju niespokojnie.

— Można oszaleć! Gdzież ta baba pojechała? Gdzie go szukać.

— Ona go nie chce! Żeby miał rozum i mnie słuchał, toby jej nie gonił! Teraz wróci wściekły.

— Albo ją przejedna, pogodzą się i znowu ją tu sprowadzi.

— Wątpię! Zna pan prezes zdanie: *auf das gewesene giebt der Jude nichts!* To już przeszłość tylko.

W tej chwili rozległ się dzwonek w przedpokoju i zaraz głos, na który obydwaj zerwali się.

— Kazia! Nareszcie! — zawołał prezes.

A tuż i ona stała już w gabinecie, blada, mizerna, ze smutnym na licach uśmiechem.

Prezes z wybuchem radości począł ją ściskać i całować — wołając:

— Zkądże? Jakim pociągiem! Boże, jak ty źle wyglądasz! Nigdy już cię więcej samej nie puszczę. Cóż tam słychać? Jak macocha?

— Źle! — odparła smutno. Jest i ojciec i doktor Downar poczciwy nam towarzyszył. Ulokowaliśmy ją u niego w lecznicy. Zapewne będzie potrzebna operacja, przytem ma wadę serca! Bardzo źle!

Przywitała Radlicza, o Andrzeja nawet nie spytała, pewna, że jest w Grodzisku.

— A gdzież twój ojciec? — spytał prezes. A mała? Została w Gurowie?

— Została. Ojciec musi za parę dni wracać. Będzie dojeżdżał. Dla małej trzeba dziś jeszcze wyszukać dobrą bonę. A tu macocha chce, żebym jej nie odstępowała. A ja doprawdy, takam zmęczona, że ledwie stoję. Tatusiu, proszę o klucze, muszę w domu przedewszystkiem się rozejrzeć. Strasznie tu brudno i nieporządnie.

— Opamiętaj się, kobieto! — oburzył się prezes. Spojrz, jak wyglądasz. Musisz odpocząć. Do macochy dziś nie pójdziesz. Po ojca twego zaraz idę.

— A ja bonę załatwię! ofiarował się Radlicz. Zobaczy pani, jak się na tem znam.

— Dziękuję panu. Nie bardzo ufam.

— Przekona się pani. Za godzinę przyślę tuzin do wyboru.

Pożegnał ich i wyszedł. Ona poczęła się krzątać po domu, a prezes za nią chodził, uszczęśliwiony, że wróciła, rad chorobie macochy śmierci babki, potłuczonym lampom, zasuszonym kwiatom, molom w dywanach, opieszałości służby, wszystkiemu, co przebyła i zastała, byle, jak najpóźniej spostrzegła nieobecność męża i spytała: gdzie jest?

Po godzinie maszyna domowego życia poczęła działać prawidłowo, służba poczuła rygor i władzę.

Kazia się przebrała, gdy zaczęły napływać naganiane przez Radlicza bony. I temu był rad prezes, chociaż i drażniło go to, że Kazia snać ani na chwilę nie pomyślała o mężu.

Nareszcie piątą kandydatkę wybrała i omówiwszy warunki i obowiązki, odprawiła do jutra

(*Ciąg dalszy nastąpi*).

Rosję z Niemcami. Od chwili, gdy oba narody walczyły obok siebie na polach bitew, upłynęło prawie całe stulecie. Owa więc „przyjaźń oręża" brzmi dziś jak anachronizm, tem większy, iż rozlega on się w 32-gą rocznicę Sedanu, przypominającą dziś Rosji jedynie i wyłącznie przyjaźń z potężnym narodem francuskim, tę przyjaźń, która przywróciła w Europie równowagę, zachwianą w r. 1870—71 i położyła kres jednostronnemu wpływowi Niemiec na losy naszej części świata".

Przechodząc następnie do kwestji polskiej, gazeta kładzie nacisk na zupełne odsunięcie się od udziału w uroczystościach poznańskich szlachty polskiej i innych warstw społeczeństwa polskiego, pozostających jeszcze pod świeżem wrażeniem malborskiej mowy cesarza Wilhelma o „zapalczywości sarmackiej". Jeśli wrażenie tego rodzaju sorzecznych faktów, świadczących o zupełnem bankructwie polityki przymusowego germanizowania Poznańczyków, cesarz Wilhelm usiłował złagodzić wzmianką o „wiecznej przyjaźni oręża" rosyjskiego z niemieckim, to w szczególe tym nie można widzieć nic więcej, nad zwykły zwrot oratorski. Tak będzie on zrozumiany w Rosji, tak też zrozumie go i sprzymierzona Francja".

KRONIKA.

Lwów 10 września.

Stan powietrza. Godzina 12 w południe: Ciepłota + 14 R. Pochmurno.

Wiadomości osobiste. Starszy radca magistratu, p. Cossa, powrócił z urlopu.

Starszy radca magistratu, p. Strzelbicki, wyjechał wczoraj na urlop.

Z rady miejskiej. Posiedzenie rady miejskiej odbędzie się jutro, dnia 11 bm., o godzinie 6 wieczorem w sali ratuszowej. Na porządku dziennym posiedzenia jawnego, jest 56 spraw, w tem 21 rekursów budowniczych. Z ważniejszych spraw wymienimy: Sprawozdanie komisji matki; nadanie wsparć z fundacji śp. Malinowskiego; sprawa tz. „Fajerpikiety"; organizacja szkoły imienia Piramowicza; udzielanie gimnastyki w szkołach ludowych; projekt regulaminu targowego; oświetlenie miasta naftą; sprawozdanie komisji teatralnej (ciąg dalszy); sprawa pomnika Mickiewicza; Tow. muzyczne o plac Strzelecki itd. Posiedzenie tajne, obejmuje 30 spraw.

Mianowanie. Ks. metropolita Szeptycki, zamianował ks. Piotra Krzywdę Paszkowskiego, proboszcza z Dulib, radcą metropolitalnym gr. kat. konsystorza.

Szewski kurs majsterski. Wydział krajowy podaje do wiadomości, że w czasie od dnia 15 października do 15 grudnia 1902 odbędzie się w Krakowie szewski kurs majsterski, na którym będzie systematycznie udzielana nauka następujących przedmiotów: a) budowa nogi, odlewy gipsowe, rysunki fachowe, branie miary, przykrawywanie, ręczny wyrób części wierzchnich i spodnich; b) wyrób obuwia zapomocą najważniejszych maszyn ręcznych i nożnych przy zastosowaniu nowoczesnych urządzeń technicznych; c) towaroznawstwo, przemysłowa buchalterja, stylistyka i kalkulacja. Nauka będzie udzielana w dniach powszednich od godziny 8 rano do 12 w południe, tudzież od 2 do 6 ewentualnie do 7 popołudniu. Nauka jest bezpłatna. Na kurs zostanie przyjętych tylko czternastu kandydatów, a to siedmiu z Krakowa, siedmiu zaś z innych miast zachodniej części kraju. Termin podań do 25 bm. na ręce delegata p. Rottera.

Ostrzeżenie dla emigrantów. Minister rezydent w Buenos Ayres zawiadomił austrjacki rząd centralny, że nie przyjmują już tam obecnie wychodźców, mających zamiar osiedlenia się w kolonji Apostoles, ponieważ ta jest już kompletnie zapełnioną i wysyłają wszystkich emigrantów do kolonji Azara. Ministerstwo zawiadomiło o tem prezydjum namiestnictwa, a to ostatnie wydział krajowy. Skutkiem tego wydział krajowy wystosował do wszystkich wydziałów powiatowych okólnik, komunikujący im tę wiadomość, z poleceniem ogłoszenia jej w gminach, w których emigracja do Ameryki, a w szczególności do Brazylji jest rzeczą zwykłą.

Uzupełnienie spisu ludności. Centralna komisja statystyczna w Wiedniu zwróciła magistratowi lwowskiemu cały operat spisu ludności, sporządzony według stanu z dnia 31 grudnia 1900, żądając uzupełnienia co do spisu domów. Mianowicie gospodarze, względnie administratorzy domów, niedokładnie, albo i wcale nie odpowiadali na pytania odnośnych rubryk: na którem piętrze każde mieszkanie się mieści, ile obejmuje ubikacyj, czy używane jest dla celów mieszkalnych, czy także dla wykonywania przemysłu, czy są lokale suterenowe i na poddaszu.

Miejskie biuro statystyczne musi tedy zająć się uzupełnieniem całego operatu, a o ile daty własne nie wystarczą, będzie sprawdzało te szczegóły na miejscu. Żmudna to robota, a przytem kosztowna. Magistrat przeznaczył na to 1200 koron.

Przeciw „niesfornym radnym". Za tydzień, lub dwa, ma wejść na porządek dzienny rady miejskiej, projekt nowego regulaminu dla niej. W szeregu interesujących innowacyj, jakie tam są proponowane, mieści się także projekt środka dyscyplinarnego, któryby „niesfornych" radnych ubezwładniał, gdyby tamowali tok obrad i który miałby bronić wolności słowa przed teroryzmem obstrukcyjno-opozycyjnych jednostek. Środek ten — jakkolwiek nie został jeszcze uchwalony zyskał nazwę „lex Thullie", albowiem w subkomitecie prof. Thullie był jego referentem. Atoli już w komisji regulaminowej, referat ten, figurujący w projekcie jako § 48, napotkał na opozycję. Osnową tego paragrafu jest, że w razie „niesforności" radnego, po dwukrotnem bezskutecznem przywołaniu do porządku, radny taki ma być wykluczony z dwóch posiedzeń. Chodziło jednak o to, kto ma o tem wykluczeniu orzec. Prof. Thullie był zdania, że władzę tę, tak samo, jak przywoływania do porządku, należy przyznać prezydentowi, gdyż on jest obowiązany czuwać nad normalnym przebiegiem obrad. Natomiast większość komisji sądziła, że należy ustanowić stałą, na rok przez sekcje wybieraną komisję dyscyplinarną z 16 członków, która ma się w danym wypadku (w czasie umyślnie zarządzonej przerwy) natychmiast zebrać i może orzec naganę, a większością $^3/_4$ głosów wydalenie z dwu najbliższych posiedzeń. Wreszcie referent komisji, prof. Roszkowski, sprzeciwił się obydwom tym zdaniom, wywodząc że prezydent byłby w ten sposób obarczony zbytnią odpowiedzialnością i ewentualnie, pod wrażeniem chwili, mógłby tej swojej władzy nadużyć; komisja zaś aż z 16 członków byłaby ciałem za ciężkiem i nie przyczyniłaby się do uspokojenia, lecz raczej do podsycenia skrajnych wystąpień w radzie. Dlatego też dr. Roszkowski oświadczył w komisji, że przed radą nie będzie referował § 48 w brzmieniu uchwalonem przed komisją i że tekst ten w radzie będzie zwalczał. Oprócz tego nieporozumienia, jakie wywołały narodziny § 48, jest ten paragraf nawet niezupełny, bo nie postanawia sposobu wykluczenia. Zdaniem większości komisji, w razie oporu wykluczonego radnego, może prezydent zamknąć posiedzenie, a następnie „nakazać woźnym, aby nie wpuszczali wykluczonego". Komisja wprawdzie sama przypomina, że w parlamentach angielskim i francuskim, oraz w radzie miejskiej w Wiedniu, opornych, wykluczonych radnych, lub posłów, wyprowadza się ze sali przemocą. Takiego jednak środka komisja używać nie chce, a jedynie pociesza się tem, że może potrzeby przymusowego usuwania radnych nie będzie i wyraża życzenie, aby § 48 w ogóle nie musiał być w lwowskiej radzie miejskiej stosowany.

Zegar świetlny na ratuszu. Znaleźliśmy stary, ale autentyczny szpargał, którego treść dowodzi, jak bardzo w ratuszu potrzeba jasnej rachuby czasu. Oto mianowicie dnia 10 grudnia 1897 wezwała rada miejska magistrat, ażeby do trzech miesięcy przedłożył wnioski w sprawie urządzenia tarczy świetlnej przy zegarze na wieży ratuszowej, oraz urządzenia zegarów miejskich na przedmieściach. Szpargał nasz wykazuje dalej, że dnia 7 września 1899, a więc po blisko dwóch latach rada miejska przekazała sprawę „oświetlenia zegara ratuszowego, względnie ustawienia dwóch zegarów świetlnych" specjalnej komisji z pięciu członków i że komisja ta „niebawem" poweźmie stanowczą decyzję. Właśnie minęły dwa lata od czasu tej ostatniej uchwały, za trzy miesiące będzie pięcioletni jubileusz uchwalenia pierwszego wezwania do magistratu, a „niebawem" zapomną w radzie miejskiej, iż mandaty wszelkich komisyj specjalnych wygasły z chwilą dokonania nowych wyborów do rady, że zatem sprawa „jasnej rachuby czasu", jest już zupełnie bez „specjalistów".

Kamienica miejska nowa, zwana „Kubasiewiczówką" (w ulicy Rejtana), będzie od 1 października do wynajęcia. Zgłoszenia przyjmuje I departament magistratu, codziennie w godzinach urzędowych.

Przemysł plakatowy i zaufanie kupców i przemysłowców lwowskich do skuteczności zalecania swych towarów inseratami i plakatami, wzrasta we Lwowie wydatnie. Uznano już trafność zdania pewnego „self-help-mena", że „kupiec bez reklamy — to jakby ostryga bez cytryny". Znowu okazał się brak miejsca na plakaty. Z tego powodu właścicielka ajencji plakatowej, pani Woynarowska, wniosła do magistratu prośbę o pozwolenie na przybicie tablic afiszowych: na budynku dworca budowniczego (ulica Zielona), na kamienicy, w której mieści się komisarjat śródmieścia, jakoteż w ulicy Zyblikiewicza. Magistrat pobierać będzie za to skromną opłatę roczną.

Budka szyldwacha wojskowego, przy ul. Hetmańskiej, naprzeciw okien głównej kasy krajowej, wywołuje słusznie ogólne zgorszenie. Obdrapana, brudna, stoi zupełnie niepotrzebnie na środku ulicy, a mogłaby tak samo dobrze służyć swemu przeznaczeniu, gdyby ją cofnięto ku skwerowi o jakie 5 kroków. I naturalnie należałoby przecież, bodaj raz na kilkadziesiąt lat, albo ją pomalować, albo odczyścić! Nie wiemy dobrze, czy to ma uczynić skarb wojskowy, czy władza skarbowa, w usługach której, szyldwach tam co noc umieszczonym być musi — wiemy natomiast, że gdyby magistrat, jako gospodarz miasta, odniósł się energicznie do władzy, w tej mierze kompetentnej, to z pewnością spowodowałby usunięcie tego brzydkiego szatra ze środka ulicy — nb. jednej z najpiękniejszych we Lwowie — a natomiast ulokowanie go na krawędzi skweru i jakieś odnowienie exterieuru budki. Możeby szan. urząd budowniczy raczył zastanowić się nad tem?

Plany cerkwi. W salach Tow. przyj. sztuk pięknych zostały wystawione na przeciąg kilkunastu dni plany budowy cerkwi murowanej w liczbie 24 nadesłane na konkurs, ogłoszony przez ks. metropolitę Szeptyckiego.

Kurs przygotowawczy do matury nauczycielskiej w „Ognisku kobiet" ulica Kościuszki 3, rozpoczyna się codziennie od godziny 11—1. Kurs analfabetów rozpoczyna się w „Ognisku kobiet" dnia 1 października br.

„Lira". Lokal towarzystwa przyjaciół muzyki i sztuki dramatycznej „Lira", znajduje się przy ul. Batorego l. 24 na I piętrze w oficynach. Wpisy na członków przyjmuje się między godziną 10 a 12 w południe i 4 a 7 popołudniu.

Fałszywa wieść. Krakowski *Naprzód* doniósł przed kilku dniami, iż w filji stanisławowskiej Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń mają się dziać jakieś nieprawidłowości, a mianowicie, że wypłacano sumy ubezpieczeniowe na pokrycie szkód z pogorzeli, które nie były wcale ubezpieczone. Dyrekcja Towarzystwa wysłała natychmiast do Stanisławowa p. Jordana, który wspólnie z delegatem Towarzystwa, posłem Włodzimierzem Gniewoszem, przeprowadził jak najściślejsze dochodzenia i pokazało się, że doniesienie *Naprzodu* było zupełnie fałszywe, gdyż żadnych nieprawidłowości tam nie popełniono.

Seminarjum nauczycielskie w Cieszynie. *Przedświt* donosi: W Wiedniu bawiła deputacja polska ze Śląska Cieszyńskiego w celu poparcia sprawy otwarcia seminarjum nauczycielskiego w Cieszynie jeszcze w tym roku. Deputacja była u wszystkich interesowanych ministrów (Koerbera, Hartla, Böhm Bawerka), a nadto konferowała z szefem sekcji drem Ćwiklińskim, który wyraził obawę, że zbyt głośne starania o seminarjum mogłyby zbudzić niemieckie licho i zaszkodzić polskiemu gimnazjum w Cieszynie. P. Ćwikliński udzielił deputacji bardzo cennych wskazówek i okazał wiele serdecznego zajęcia się i ciepła dla sprawy seminarjum. Bawiący w Wiedniu prezes Koła polskiego, Jaworski, z którym deputacja w ciągłym pozostawała kontakcie, gorąco wziął do serca sprawę seminarjum i bez zwykłego strachajłostwa przed Niemcami, gotów jest stanowczo poprzeć u rządu żądanie, by seminarjum jeszcze w tym roku było otwarte. Na tem też buduje deputacja swoje nadzieje.

Przeciw księciu Radziwiłłowi. Do pism berlińskich donoszą z Zakopanego via Wiedeń, że przebywający w Zakopanem Polacy, zamierzają urządzić protest zbiorowy przeciw prezesowi Koła polskiego w berlińskim parlamencie ks. Radziwiłłowi, za to, że wziął udział w uroczystościach podczas pobytu Wilhelma w Poznaniu.

Konferencje czeskie. *Narodni Listy* donoszą, że dr. Koerber zamierza w najbliższym czasie, może już w przyszłym tygodniu, powołać do Wiednia na wspólną konferencję zastępców wszystkich partyj z Czech i Moraw. Na tej konferencji poda im dr. Koerber do wiadomości swoje plany i zamiary, tudzież zechce usłyszeć, jakie ich jest zdanie o obecnej sytuacji. Dr. Koerber ma już swój pozytywny, konkretny projekt w sprawie czesko-niemieckiej.

Są to dwa prowizorja dla sprawy czeskiej, tudzież dla sprawy niemieckiej. Prowizorja te są połączone pewnego rodzaju *junctim* i tak skonstruowane, że, przyjmując jedno z nich, musi się równocześnie przyjąć i drugie. Jeżeli się chce korzyści dla siebie, musi się także uchwalić korzyści dla drugiej strony, jedno bez drugiego w takiem połączeniu, jak je dr. Koerber ma podać, jest niemożebne.

Jubileusz kościoła na Kahlenbergu. W kościele na Kahlenbergu pod Wiedniem, gdzie Sobieski służył do mszy świętej przed odsieczą, odbędzie się jak corocznie w dniu 12 września dziękczynne nabożeństwo. W tym roku nabożeństwo to będzie tem uroczystsze, że łączy się z niem 50-letni jubileusz odnowienia tego kościoła, kosztem wiedeńskiego mieszczanina, Jana Finsterlego. Uroczystość zacznie się o godzinie 10 rano kazaniem ks. Wincentego Blahy, Benedyktyna, poczem mszę dziękczynną odprawi ks. prałat Leopold Rost.

Z walk południowo-słowiańskich. Z Lublany donoszą, że poruszony przez tryjesteńską *Edinost* projekt utworzenia słoweńskiej „rady nadzorczej", — która obejmowałaby swoją opieką wszystkich Słoweńców w Austrji, — został przez oba słoweńskie stronnictwa odrzucony. Na 14 bm. zapowiedziano w Lublanie wiec manifestacyjny Słoweńców tryjesteńskich i z okolicy, a to celem obradowania nad sprawą utworzenia słoweńskich szkół ludowych. Poseł do sejmu węgierskiego ze słowackiego okręgu wyborczego, Verbo, adwokat Jan Walasek, pozwany został przed trybunał karny w Neutra, pod oskarżeniem „podburzania narodowościowego".

Złodziej miljoner. Uważanego ogólnie za miljonowego pana, kamienicznika Wolstreicha w Peszcie, pochwycono w chwili, gdy dorobionym kluczem z kasy przyjaciela swego Scherzera wyjmował znaczną sumę.

Drogi opał do samochodu. Kiedy szachowi perskiemu posłano pierwszy automobil z Paryża, udał się władca Persji natychmiast na jego obejrzenie. Ledwie obaczył wehikuł, rozkazał w motorze zapalić, jak można najprędzej. Jeden z dworzan zauważył, że nie ma w pałacu ani kropli spirytusu. „Nie ma spirytusu? — zawołał szach oburzony — no, a moja flaszka szampańskiego z r. 1868! — Niech tu zaraz podadzą flaszkę z piwnicy". W ten sposób pierwszy samochód perskiego szacha, puszczony został w ruch przy pomocy butelki Fin Champagne po 20 koron flaszka.

Z kraju.

Brody. (*Uroczystość grunwaldzka*). Przez sobotę i niedzielę miasto nasze obchodziło uroczystość grunwaldzką. Komitet dołożył wszelkich starań, by uroczystość wypadła jak najwspanialej i zamiar ten w zupełności osiągnięto. Prawie wszystkie domy, a mianowicie w ulicach głównych, przystrojono już w sobotę rano w chorągwie o barwach narodowych. Na szybach okien widniały kartki zastępujące iluminację. Wieczorem, jako w wilję właściwej uroczystości, odbył się w Towarzystwie muzycznem uroczysty wieczorek, przy nader licznym udziale publiczności. Sala była przepełniona. Czuć było podniosły i uroczysty nastrój. Przemówienie wstępne wygłosił profesor Dropiowski, a w wykonaniu programu brali udział p. Ottawowa, p. G., panna K. i chór kółka śpiewackiego.

Gdy z estrady rozległy się słowa pieśni narodowych, publiczność powstała z miejsc i — bez komendy, bez rozkazu, odezwały się jakby z jednej piersi potężne tony nieśmiertelnego „Chorału". Wieczór zakończył obraz z żywych osób. Nazajutrz o świcie wystrzały moździerzowe i hejnał z wieżyczki na Rojekówce, zapowiedziały rozpoczęcie właściwej uroczystości. Muzyka narodowa (sprowadzona ze Lwowa) przeciągała ulicami miasta, grając pobudkę. O godzinie 8 zebrały się w dziedzińcu ratuszowym stowarzyszenia, cechy i korporacje ze sztandarami i udały się w uroczystym pochodzie do kościoła na nabożeństwo. Przepiękne kazanie wygłosił ks. Nogaj. Stąd ruszono do bożnicy. Śpiewy liturgiczne kantora i chórów, a ponadto kazanie okolicznościowe dra Hertzla, duże na słuchaczach zrobiły wrażenie. Uroczystym pochodem powrócono do ratusza. Raz jeszcze uszykowały się stowarzyszenia i deputacje, muzyka zagrała hymn narodowy, pochyliły się sztandary i na tem zakończono właściwą uroczystość. Po południu odbył się na Ostrowczyku festyn strażacki.

Stupnica. (*Kłopot o kościół*). Przed kilkoma laty właściciel tutejszego obszaru dworskiego rozparcelował swój majątek pomiędzy mazurów, z czego powstała kolonja polska, licząca obecnie 160 rodzin, a przeszło 1000 dusz. Jednym z warunków parcelacyjnych była także umowa pomiędzy właścicielem majątku, a kolonistami, której celem było wybudowanie kościoła. Chłopi, nabywając grunta, płacili na ręce właściciela po 7 zł. od kupionego morga na cel powyższy, sam zaś właściciel zobowiązał się dodać od siebie 2000 zlr., oraz ofiarować murowaną owczarnię na materjał budowlany. Na razie zaś odstąpił oficyny dworskie dla pomieszczenia tymczasowej kaplicy i księdza, któryby sprawował dla kolonistów funkcje duchowne. Jako duszpasterz, osiadł tam ks. Jan Policki, były kaznodzieja polski w Wiedniu, kapłan gorliwy i czynny. Zajął się on losem kolonji, narażonej na wynarodowienie wśród większości ruskiej i w krótkim czasie, obok kaplicy, założono cmentarz, wzniesiono szkołę dla 150 dzieci, powstało kółko rolnicze i kasa Raiffeisena. Kolonja rozwijałaby się pomyślnie, gdyby nie zatargi, które wynikły z powodu niedotrzymania umowy przez właściciela. Przedewszystkiem okazało się, że wymiary gruntów przy sprzedaży były błędne i chłopi otrzymali mniej, aniżeli było umówionem, chociaż zapłacili za większy obszar. Następnie właściciel począł czynić trudności w używaniu kaplicy, a kiedy upomniano się o fundusze na kościół, które dziś wynoszą do 24 000 koron, okazało się, że jest tylko parę tysięcy gotówki, którą wydobył z reszcie konsystorz biskupi w Przemyślu. Ludność jest zaniepokojona tem więcej, że właściciel dworu niebawem ma opuścić Stupnicę i poszukiwanie pretensyj stanie się bardzo trudnem. Może te słowa spowodują konsystorz biskupi w Przemyślu do zajęcia się tą sprawą.

Zaleszczyki. (*Uroczystość sokola*). Bawiący tu na wizytacji ks. arcybiskup sufragan Weber, dokonał w asystencji licznego duchowieństwa poświęcenia kamienia węgielnego pod gmach „Sokoła". W przemowie swej zaznaczył ks. arcybiskup ważność tej warowni polskiej na kresach, która nie tylko ma być narodową, ale i katolicką, nie tylko zbornym punktem dla „Sokołów" urzędników, ale i dla rękodzielników i wieśniaków. Na tę uroczystość przybyły delegacje ze Stanisławowa, Kołomyi, Horodenki i nadeszły telegramy od pobratymczych gniazd sokolich. Po poświęceniu kamienia węgielnego udał się ks. arcybiskup do Głęboczka, gdzie ma dokonać poświęcenia nowego kościółka.

—

* **Parnia dla pań,** otwartą została od dnia 5 bm. co piątku, w zakładzie kąpielowym św. Anny.

* **Zgromadzenie Towarzystwa** przyjaciół muzyki i sztuki dramatycznej „Lira", odbędzie się we czwartek dnia 11 września b. r. w hotelu „Victoria" (przy ulicy Hetmańskiej l. 8), o godz. 7 wieczorem.

Składki na cele użyteczności publicznej lub narodowej.

Na przytulisko Brata Alberta. Kolonia, „Au", 6 kor.

Zmarli:

W Nowym Sączu zmarł w 30 roku życia Mieczysław Wasiewicz, asystent uniwersytetu Jagiellońskiego.

Notatki literackie i artystyczne.

Repertoar teatru miejskiego we Lwowie. Dziś w środę: „Weronika", operetka w 3 aktach Messager'a,

Jutro we czwartek: „Szczęście w zakątku", komedja w 4 aktach Hermana Sudermana. Ostatni występ Romana Żelazowskiego.

W piątek: „Wdowa z Malabaru", operetka w 3 aktach Hervey'a.

W sobotę: „Pierwsza mucha", komedja w 3 aktach Wiktora Kryłowa.

P. Wojciech Kossak, bawi w naszem mieście. Wczoraj znakomity artysta zwiedził salon sztuki p. Latoura, wyrażając się z uznaniem o doborze dzieł i gustownem tychże ustawieniu.

Teatr.

(*„Uriel Akosta" i „Właściciel kuźnic." — Występy gościnne Romana Żelazowskiego.*)

Pisząc o grze p. Żelazowskiego, trudno pominąć milczeniem twierdzenie, jakie coraz głośniej daje się słyszeć w krytyce dzisiejszej, a które niejednemu wyda się zagadkowem. Odkąd zapamiętam tego artystę na scenie, był on zawsze przedstawicielem ról tragicznych i dramatycznych. Dramat stanowił jego forsę, wyrobił mu bardzo poważne imię i zjednał uznanie, które wyniosło go do szeregu sił pierwszorzędnych w teatrze polskim. I oto, nagle, po tylu latach znanej i uznanej działalności artysty w dziedzinie klasycznej tragedji i dramatu, odezwały się głosy, że talent p. Żelazowskiego wcale nie odpowiada właściwościom kreacyj dramatycznych, a natomiast forsę jego i właściwe pole działania stanowi — komedja.

Opinia taka musi niewątpliwie uderzyć zarówno długoletniego wykonawcę: Otella, Franciszka Moora, Uriela, Filipa Derblay, — jak i ogół publiczności, która rosła i smak swój kształciła na kreacjach artysty. Czyliżby uległ zmianie kierunek talentu p. Żelazowskiego?

Nie. Artysta pozostał sobą, ale zmienił się smak krytyki, zmieniły się pojęcia i wymogi, co do gry scenicznej. Dzisiejszy modernizm żąda od artysty nadzwyczajnej subtelności w odtwarzaniu charakterów, żąda postaci, wycyzelowanych do najdrobniejszego szczegółu i szczególiku, chce mieć przed sobą tkankę duszy koronkową, w której widz mógłby spośrzedz każdą, najcieńszą niteczkę. Subtelność taka, ujęta jednak w harmonję tak, iżby nie psuła plastyki całości i nie zatracała w drobiazgach podstawowej cechy danej postaci, jest wyrazem dzisiejszego gustu krytyki i publiczności w przeciwstawieniu do twardego koturnu i spiżowych konturów dawnego dramatu. Czy większe sprawia wrażenie wycieniowany aż do najdrobniejszych szczegółów, a więc miękki, jakby kuty w marmurze kararyjskim, król Lear, lub Otello, czyli też silniej oddziała lany w twardym spiżu kontur takiej postaci, gdzie na drobne koronki niema miejsca, — to kwestja zapatrywania i smaku jednostki. To jednak nie ulega kwestji, że w charakterystyce gry artysty nie można do pewnego stopnia ignorować słów poety: *Wer den Dichter will verstehen, muss in Dichters Lande gehen...*

P. Żelazowski w dramacie jest wyznawcą tej szkoły, którą zwalczają dzisiejsze wymogi modernizmu i z tego stanowiska oceniając jego kreacje, musi się przyznać, że odtwarza je jednolicie, potężnie i śmiało. Kształcony na subtelnościach dzisiejszej rzeźby, widz wolałby może, ażeby Uriel miał w swych ruchach mniej pozy i koturnowej sztywności, a Filip w „Właścicielu kuźnic", więcej objawiał odruchów serca i walki wewnętrznej, jaka się w jego duszy odbywa, — ale silne, śmiałe i prawdziwe kontury tych postaci, ogromna siła dramatyczna, co porywa i hypnotyzuje słuchacza, wynagradzają w zupełności zbyt może szerokie i pozbawione wielu półcieniów malowanie. Taka jest cecha gry p. Żelazowskiego i tu powód, dla którego mimo skalpelu krytyki, publiczność zawsze chętnie i z wielkim zajęciem przyjmuje arstystę na scenie.

Tak też było i na ostatnich dwóch występach warszawskiego gościa, jakkolwiek wrażenie, jakie sprawiała gra artysty, nie na każdem z nich odpowiadało w całości oczekiwaniu. — „Uriel", oceniany nawet wyłącznie w myśl szkoły, której hołduje artysta, wypadł słabo. Był zanadto suchym, zbyt kontemplacyjnym, a w głosie i ruchach tak biernym, że silne wrażenie, jakie mimo tego sprawiał, przypisałbym raczej potężnym i głębokim słowom poety, tłómaczonym (a często przerabianym) prześlicznie wierszem Antoniewicza, — aniżeli zasłudze wykonawcy. P. Żelazowski widocznie nie był usposobionym tego wieczora; nawet deklamacja pozostawiała do życzenia... Natomiast obudził się w całej pełni tragik we wczorajszym „Właścicielu kuźnic". Filip Derblay — to oddawna popisowa kreacja artysty, a wczoraj wyszła ona w grze jego tak plastycznie, tyle miała chwil wspaniałej potęgi i głębokiej prawdy, że przykuwała do siebie umysł i uczucie widza, a gościowi naszemu jednała co chwila burzę oklasków ze strony porwanej niepospolitą grą publiczności. Był to wogóle wieczór piękny, pełen podniosłych wrażeń. Do gry p. Żelazowskiego dostroili się wybornie artyści nasi, a w pierwszej mierze pani Stachowiczowa, która po wybornej Judycie w „Urielu", miała tu świeżą sposobność do rozwinięcia swego talentu i rutyny w roli, odpowiadającej charakterowi jej gry. Jako Klara, przypomniała nam pani Stachowiczowa najpiękniejsze chwile sceny lwowskiej, kiedy to dnmę naszą stanowiły pierwszorzędne talenty niewieście, dziś, niestety, tak nieliczne. Klara, grą skończenie poprawną, szlachetną i pełną uczucia, sięgała wczoraj po palmę pierwszeństwa z bohaterem sztuki i — należy wyznać — niejednokrotnie z powodzeniem, co hucznem brawem stwierdzało audytorjum.

Poświęciwszy więcej miejsca p. Żelazowskiemu, mogę już tylko ogólnikowo zaznaczyć, że reszta uczestników w „Urielu", a więcej jeszcze we „Właścicielu kuźnic", wywiązała się ze swego zadania ku zupełnemu zadowoleniu publiczności i że zwłaszcza wczorajsze przedstawienie należało do bardzo udałych zarówno w szczegółach, jak i w zespole. *Kl. K.*

Izba sądowa.

Lwów 10 września.

(Morderstwo).

W ciągu dzisiejszego przedpołudnia, przesuwa się przed trybunałem cały szereg świadków. W pierwszym rzędzie przesłuchano butyńskich „przemysłowców" — kowala, szewca i szynkarza. Potem stanął wójt, siwy jak gołąb i kilkunastu butyńskich włościan. Lud tam, przyznać trzeba, bardzo inteligentny. Wszyscy prawie są piśmienni.

Zeznania świadków, brzmią dla obwinionych niepomyślnie. Batiuczko, zdaniem ich, jest pijakiem, który za wódkę i pieniądze do każdej zdolny jest zbrodni. O Hapiju chodziły wprawdzie po wsi słuchy, że jest „durnowaty", gospodarzył on jednak na swym gruncie jak każdy inny.

Rozprawa trwa dalej.

Stanisławów 9 września.

(Włamywacze.)

Sala rozpraw tutejszego sądu karnego przedstawia dzisiaj osobliwy widok. Na ławie oskarżonych zasiadło sześciu żydów o wyglądzie tak charakterystycznym, że na pierwszy rzut oka łatwo poznać z jakiemi indywiduami ma się do czynienia. Są to członkowie zorganizowanej bandy złodziejskiej, która operowała we wschodniej Galicji w r. 1897 i 1898.

Na czele bandy stał niejaki Hersz Nissen Talesman, 34-letni żyd z Rohożny na Bukowinie, który powiadają „dorobił się" na wyprawach złodziejskich znacznego majątku. Oprócz owego naczelnika bandy, stają jako oskarżeni brat jego Izrael Talesman dalej Wolf Trutiner, Abraham Morgenstern, Izak Heissler i Mendel Summer.

Nie cała to banda, kilku bowiem z niej, obawiając się kratek więziennych, umknęło przed niemi do Ameryki.

Banda ta popełniła w latach 1897 i 1898 szereg niesłychanie zuchwałych kradzieży z włamaniem, mianowicie: w r. 1897 do urzędu podatkowego w Monasterzyskach, w roku następnym zaś w Tyśmienicy u kupca zbożowego Adlera, następnie w Stanisławowie u kupca Krauthammera, dalej u hr. Wojciecha Dzieduszyckiego w Jezupolu, wreszcie dwie kradzieże w Czortkowie.

Wszystkie kradzieże popełniono z niebywałem zuchwalstwem i prawdziwym złodziejskim artyzmem.

Kilku członków bandy zostało za kradzież w urzędzie podatkowym w Monasterzyskach stawionych przed kratki i karę już odsiaduje, reszta umiała się do tej pory szczęśliwie z pod oka sprawiedliwości wymykać, aż w roku bieżącym zgłosili się, odsiadujący karę w więzieniu lwowskiem członkowie bandy: Morgenstern, Salter i Riwner z doniesieniem, że sprawcami wymienionych kradzieży była szajka złodziejska, której członkowie i herszt zasiadają dzisiaj na ławie oskarżonych.

Operacje bandy tej mogą naprawdę wprowadzić w podziw, a akt oskarżenia czyta się jakby jakiś romans kryminalistyczny.

Jedną z najśmielszych kradzieży była wyprawa stanisławowska na kupca Berla Krauthammera, posiadającego dom przy ul. Halickiej. Krauthammer jest to bogaty kupiec tutejszy, posiadający oprócz kilku realności także znaczny zapas gotówki. W nocy na 9 listopada r. 1898 zakradli się rabusie do mieszkania jego przez okno i wynieśli przez nie kasę wertheimowską, tak sprawnie i cicho, że śpiący w sąsiednim pokoju Krauthammerowie nic a nic nie słyszeli. Złodzieje, wynosząc ciężką kasę, wyścielili podłogę dywanami i futrami Krauthammerów. W kasie znajdowało się wówczas w losach i obligacjach 12 160 zł., a w książeczkach i wekslach 23 000 zł.

Kasę Krauthamerów znaleziono w kilka dni później rozbitą i wypróżnioną pod mostem w lesie w Kryłowie pod Haliczem.

W Jezupolu u hr. Dzieduszyckiego nie bardzo się szajka obłowiła, a powracających z wyprawy już miała policja stanisławowska w ręku, ale ich nieopatrznie wypuściła, herszt bandy zaś, ów Talesman, w chwili kiedy policjanci na moście halickim fiakra, którym jechali otoczyli ratował się ucieczką, skoczywszy z mostu w nurty Bystrzycy.

Bajeczną formalnie wydaje się kradzież u kupca zbożowego Jeruchima Goldsteina w Czortkowie. Złodzieje dostali się do mieszkania jego przez kuchnię, gdzie spało kilka osób, w pokoju zaś, gdzie spał Goldstein spało również kilka osób. Otóż Goldsteinowi wyciągnięto z pod poduszki spodnie, w których znajdował się pulares z gotówką 1600 koron. Spodnie znaleziono nazajutrz porzucone na cmentarzu.

Podobnych kradzieży popełniła szajka jeszcze kilka innych a podług zeznań Morgensterna we wszystkich brał udział Talesman z resztą swojej bandy.

Talesman oczywiście zaprzecza doniesieniom Morgensterna nazywając je oszczerstwem, Morgenstern i tow. atoli upierają się przy swoich zeznaniach, twierdząc, że powoduje ich do nich pominięcie przy rozdziale łupu.

Siedząc już w więzieniu upominali się Morgenstern i Salter u Talesmanów o przysłanie im pieniędzy, grożąc, że w przeciwnym razie wtrącą ich w nieszczęście. Talesmanowie w istocie coś im nawet wysłali, ile jednak, dociec dzisiaj już z powodu braku dowodów pocztowych trudno.

Talesmanowie obaj, jakoteż reszta towarzyszy mają przeszłość kryminalną i najgorszą konduitę. Przeciwko Talesmanom świadczy pomiędzy innymi fakt, że po roku 1898 stosunki majątkowe ich nagle bardzo się poprawiły, wyposażyli siostry i zakupili w Rohożnie znaczne grunta i realności, a żadnym uczciwym zarobkiem w tym czasie wykazać się nie mogą.

Rozprawa potrwa kilka dni. Przewodniczy

jej radca sądu kraj. p. Koerber. Sala rozpraw zapełniona publicznością. Pomiędzy audytorjum pojawiają się osobniki o zagadkowym wyglądzie. Świadkowie Morgenstern, Salter i Rosner występują w ubiorach aresztanckich.

Powstanie na Haiti.

O zatopieniu „Crête à Pierrot", należącego do powstańców na Haiti, przez pancerny statek niemiecki „Panther", donoszą następujące szczegóły:

„Crête à Pierrot" napadł był na handlowy statek niemiecki „Markomannia" i wbrew przepisom prawa międzynarodowego przeprowadził na nim rewizję i zabrał wszystką broń, jaka się na statku znajdowała. Ponieważ powstańcy na Haiti nie są uznani za stronę wojującą i ponieważ przeprowadzenie rewizji i zabranie broni z „Marcomanii" było bezprawiem, przeto komendant statku „Panther" otrzymał rozkaz pociągnięcia do odpowiedzialności statku „Crête á Pierrot" za korsarstwo.

Statek „Panther", którym dowodził kapitan Eckermann, wykonywując rozkaz, udał się z Port au Prince do Gonaives i tam schwytał statek haitański. Eckermann admirałowi powstańców haitańskich, który się znajdował na pokładzie „Crête á Pierrot", postawił następujące ultimatum: Zdjąć flagę w przeciągu kwadransa, załoga ma w tym czasie opuścić statek, nie czyniąc żadnych kroków wojennych, gdyż w przeciwnym razie nastąpi bezzwłocznie atak. Statek „Panther" był w istocie przygotowany do natychmiastowego natarcia.

Załoga statku haitańskiego zastosowała się do ultimatum. Zdjęła flagę i opuściła statek udając się na łodziach do Gonaives.

Statek niemiecki miał zamiar przyholować statek haitański do Port au Prince, ale w kilka minut po opuszczeniu Pierrota przez załogę nastąpił na nim wybuch, który zniszczył część statku i wzniecił pożar. Widocznie załoga, opuszczając statek, podłożyła lonty pod prochy. Holowanie statku stało się więc niemożliwem, gdyż można się było obawiać dalszych eksplozyj. Ponieważ kapitan Eckermann ujrzał w tem postępowaniu załogi „Pierrota" krok nieprzyjacielski, a nadto działa na przedzie statku mogły być jeszcze użyte, polecił przeto strzałami działowymi zniszczyć przód statku. Od strzałów eksplodował drugi magazyn prochu i kocioł, wskutek czego „Pierrot" zatonął.

Zatopiony statek był największym statkiem małej floty powstańczej.

Statek „Panther" powrócił do „Porte au Prince."

DEPESZE telegraficzne i telefoniczne.

Morskie Oko.

Grac 10 września. Dziś przed południem rozpoczął sąd rozjemczy publiczną rozprawę. Posiedzenie poprzedziła poufna konferencja sądu.

Obrady rozpoczęły się wysłuchaniem sprawozdania rzeczoznawcy prof. Beckera, który przedtem złożył przyrzeczenie przez uścisk dłoni superarbitra Winklera.

Do rzeczoznawcy wystosowano 8 pytań. Na wszystkie odpowiedział na podstawie naocznych oględzin. Opinja jego jest dla nas jak najpomyślniejszą.

Jubileusz Konopnickiej.

Kraków 10 września. Komitet obchodu jubileuszu Konopnickiej wyznaczył główny termin obchodu na dzień 19-go października. Program uchwalono bez zmiany, na podstawie szkicu, przedłożonego przez p. Siedlecką w Zakopanem. Będzie tylko jedno główne większe przemówienie; składający dary wypowiedzą tylko krótko życzenia. Co do jubileuszowego wydawnictwa uchwalono porozumieć się z jubilatką.

Sprzeniewierzenie.

Kraków 10 września. Posługacz Czajka sprzeniewierzył 1600 koron danych mu na zapłacenie podatku, przez kasjera Arcybractwa miłosierdzia. Czajka uciekł, pozostawiając żonę i dwoje dzieci.

Mowa cesarza Wilhelma

Poznań 10 września. Mowa cesarza Wilhelma będzie ogłoszona plakatami, rozlepionemi po mieście, a nadto odbitki jej będą rozdawane wszędzie na prowincji.

Walka kulturna we Francji.

Paryż 10 września. Jaurès ogłasza w *Petite Republique*, że socjalistyczni deputowani po zebraniu się parlamentu uczynią wniosek, aby izba uchwaliła ogłosić plakatami najważniejsze momenty procesu w Nantes, mianowicie telegraficzny rozkaz generała Fratra i odpowiedź podpułkownika San Remy, oraz wyrok sądu wojskowego. Żołnierze bowiem powinni poznać zakres dyscypliny wojskowej, jak daleko sięga posłuszeństwo wobec władzy przełożonej i gdzie rozpoczyna się granica osobistych zapatrywań.

Powstanie w Wenezueli.

Waszyngton 10 września. Amerykański konsul generalny w Wenezueli, Ehrmann, donosi do departamentu państwowego, że Aqua dulce jest w posiadaniu wojsk rządowych. Konsul uważa położenie w Colon i Panamie za poważne.

Trzęsienie ziemi.

Madryt 10 września. W miejscowości Panticosa dało się wczoraj uczuć trzęsienie ziemi.

Powodzie.

Madryt 10 września. Z całego dorzecza rzeki Tujo donoszą o wielkich wylewach i znacznych skutkiem tego szkodach.

Strejki.

Barcelona 10 września. Murarze przyłączyli się do strejku. Przyszło do zajścia między strejkującymi a policją. Zarządzono liczne aresztowania.

Kraków 10 września. Z powodu rocznicy zgonu cesarzowej Elżbiety, odprawił dziś w katedrze na Wawelu nabożeństwo ks. biskup Nowak. Obecni byli przedstawiciele władz rządowych i autonomicznych. — Z magistratu powiewa chorągiew żałobna.

Wiedeń 10 września. Dzisiaj o godzinie ½8 rano, jako w dniu rocznicy śmierci cesarzowej Elżbiety, udał się cesarz do krypty kościoła Kapucynów, gdzie zabawił dziesięć minut, modląc się przy trumnach cesarzowej, arcyksięcia Rudolfa i rodziców.

Wiedeń 10 września. Przybył tu dziś rano z Ratot prezydent ministrów Szell.

Wiedeń 10 września. Minister wojny Krieghammer, odjechał dziś rano do Sasvar na manewry.

Wiedeń 10 września. Wczoraj przybył tu następca tronu greckiego z żoną, oraz komisarz Krety książę Jerzy.

Wrocław 10 września. *Schlesische Ztg.* donosi, że rosyjskie ministerstwo kolei zgodziło się na połączenie linji kolejowej Herby-Częstochowa z pruską koleją państwową w Herby.

Kronika z ostatniej chwili.

Z powodu rocznicy zgonu cesarzowej Elżbiety odbyło się dziś w archikatedrze lwowskiej, w katedrze ormjańskiej, cerkwi św. Jura i kościołach i cerkwiach parafjalnych nabożeństwo żałobne, przy współudziale reprezentantów władz, młodzieży szkolnej i tłumów publiczności.

Podrzutek. Na placu Unji Brzeskiej, znaleziono wczoraj około 3 miesięczne niemowlę płci żeńskiej. Oddano je do zaopiekowania się komisarjatowi II dzielnicy.

Rozbicie sklepu Sierżant policji Piątkowski, przytrzymał ubiegłej nocy Ilka Zaczkiewicza i Efroima Berga, notowane w policji indywidua w chwili kiedy rozbijali drzwi sklepowe w handlu cukrów Töpfera przy ul. Żółkiewskiej.

Zaginione dziewczęta. Chana Lau vel Berner, 15-letnia brunetka, Szyfra Grossstern, 18-letnia brunetka i Genia Haas, 16-letnia blondynka, wszystkie trzy bardzo przystojne dziewczęta, znikły wczoraj nagle z domu swych rodziców. Zachodzi podejrzenie, że padły one ofiarą handlarzy żywym towarem, którzy wywieźli je ze Lwowa.

Dział ekonomiczny.

— **Bank rolniczy we Lwowie.** Lwów 10 września (Dziś notujemy za 100 klg loco Lwów Waluta koronowa.) Pszenica gotowa od 14·— do 14 20, pszenica na termin od 13 20 do 13 60; żyto gotowe od 11·50 do 12·—, żyto na termin od 10 80 do 11 40, owies obroczny gotowy od 11·80 do 12 40, owies obroczny na termin od 10 10 do 11·50; jęczmień pastewny od 10·— do 10 50 jęczmień browarniany od 11 50 do 12·—, rzepak od 19 50 do 20·50; lnianka —·— do —·—; groch pastewny 11·— do 12·—, groch do gotowania 14·— do 17·—; wyka 9·50 do 10·—, bobik 9·— do 9 50 hreczka —·— do —·— kukurydza nowa 9·80 do 10 60, kukurydza stara 11 50 do 12·—; chmiel za 56 kilo —·— do —·—; koniczyna czerwona nowa 84·— do 100·—, koniczyna biała nowa od 120·— do 160·—, koniczyna szwedzka od —·— do —·—; tymotka od 36·— do 42·—.

Spirytus *paritas* Tarnopol gotowy za 50 litr od 6 25 do 6 50; ekskontyngentowy od 7·90 do 8·10.

Usposobienie niezmienne.

— **Wiedeń** 10 września. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogramów). Pszenica na jesień od 6 96 do 6·97, na wiosnę od 7 26 do 7 27 żyto na jesień od 6 28 do 6 29 na wiosnę od 6 48 do 6 50 kukurydza na sierpień-wrzesień od —·— do —·—, na wrzesień październik od 5 67 do 5 68, na maj-czerwiec od —·— do —·—; owies na jesień od 5 75 do 5 76, na wiosnę od —·— do —·—; rzepak na sierpień-wrzesień od 10 65 do 10 75, na wrzesień-październik od —·— do —·—, na styczeń-luty od —·— do —·—, olej rzepakowy na wrzesień-grudzień —·— do —·—. Usposobienie ustalone. Pogoda zmienna.

— **Budapeszt** 10 września. (*Giełda zbożowa*). (Kursa w koronach i po 50 kilogr.). Pszenica na październik od 6 70 do 6·71, na kwiecień od 7·01 do 7 02; żyto na październik od 5·96 do 5 97, na kwiecień od 6 16 do 6·17 owies na październik od 5·46 do 5·4 , na kwiecień od 5·76 do 5·77 kukurydza na wrzesień 5·37 do 5·38, na maj od 5 38 do 5 39; rzepak na sierpień od —·— do —·—. Oferty na pszenicę mierne. Chęć kupna ograniczona. Usposobienie spokojne. Pogoda piękna.

Wiedeń 10 września. (Giełda południowa godzina 12 m. 45. Marki 117·10 Renta majowa 101 70 Węg. renta koronowa 98 15. Akcje austr. zakł. kred. 684·50 Akcje węg. zakł. kred. 738·— Akcje Anglobanku 281·—. Akcje Unionbanku 545·—, Akcje Bankvereinu 461·—. Akcje Länderbanku 427·50 Akcje kolei państw 722·50 Lombardy 79·—, Akcje kolei Elbethal 472·—. Akcje fabryki broni —·—. Akcje tytoniowe —·— Akcje Alpiny 383·—, Akcje Rima Muranji 504·—, Akcje praskiego Tow. żel. 1524, Losy tureckie 116·—, Ruble 254·— Usposobienie spokojne.

Berlin 10 września. (Giełda poranna) Akcje kredytowe 219·—, Towarz. dyskontowe 189 80 Usposobienie dosyć silne.

NEKROLOGJA.

†

JURCIO

najukochańszy synek

Fryderyka i Elżbiety z Gołąbów Raus

usnął w Panu dnia 8 września 1902 w 4 wiośnie życia w Krakowie.

Obrzęd pogrzebowy odbędzie się dnia 11 września b. r. o godzinie 3 po południu z dworca kolei państwowej we Lwowie na cmentarz Łyczakowski do grobowca rodzinnego, na który w smutku pogrążeni rodzice zapraszają.

„Concordia". A. Kurkowski.

†

JAN PELC

adjunkt c. k. kolei państwowej

po długich a ciężkich cierpieniach, opatrzony św. Sakramentami, zmarł d. 10 września br. w 38 roku życia.

Pogrzeb odbędzie się dnia 12-go września b. r. o godzinie 4-tej po południu z domu żałoby przy ul. Kochanowskiego l. 64 na cmentarz Łyczakowski, na który w smutku pogrążona żona z rodziną kolegów i znajomych zaprasza.

„Concordia" A. Kurkowski.

Przyjechali do Lwowa.

dnia 10 września 1902 r.

HOTEL GEORGE. Ks. Z. Czartoryska z Królestwa Pol. Br. H. Lempruch z Kornenburga. Hr. F. Korytowski z Płotycza. Hr. M. Komorowski z Glinny. H. Pawłowska z Krakowa. C. Böttcher z Bremy. L. Chałubiński z Jelichowa. E. Lityński z Litwinowa. O. Wiktorowa z Czudca.

HOTEL EUROPEJSKI. Ks. W. Gedroyć z Mostów małych. Br. M. Błażowski z Nowosiółki. Hr. K. Ożarowski z Juśkowiec. Hr. T. Łoś z Kulmatycza. Hr. M. Dunin Borkowski z Mielnicy. A. Theodorowicz z Żukowa. M. Chrośnicki z Chrośnicy. A. Thullie z Rzepniowa. O. Sala z Wysocka. M. Klinz, W. Patraszewski ze Stanisławowa. K. Traczewski z Chinowiec. L. Thom z Żeleziec. L. Żupnik z Wiednia.

TEATR MIEJSKI WE LWOWIE.

We środę 10 września, o godz. 7½ wieczorem

WERONIKA

operetka w 3 aktach; libretto Vanloo i Duval'a muzyka A. Messager'a.

OSOBY:

Wicehrabia Florestan de Valaincourt	p. Okoński
Coquenard	p. Stypkowski
Loustot	p. Kiczman
Serafin	p. Lelewicz
Helena de Solange	pni Kliszewska
Agata Coquenard	pna Łęska
Ermeranza de Champ d' Azur	pni Kasprowiczowa
Djoniza	pni Okońska

Kwieciarki. Kupujący kwiaty. Gwardja narodowa. Goście weselni. Muzykanci itd. Rzecz dzieje się w Paryżu.

Nadesłane.

Rubryka ta nie pochodzi od redakcji, która też nie bierze na siebie żadnej za nie odpowiedzialności.

Z wędrówki na Martynikę.

Notatki specjalnego delegata, spisywane dla warszawskiej *Gazety Polskiej.*

II. W ruinach.

...Nie zostanie kamień na kamieniu.

. . . .

To, com ujrzał, przechodzi ludzkie wyobrażenie. Żadne słowo tego nie opisze; fotografja blade, bezsilne da wrażenie. Może pendzel genjalny lepiej odtworzy chaos zniszczenia, nie — wrażenie miejsca, gdzie było miasto, a gdzie nie ma nawet ruin.

A ja myślałem, że to przesada dziennikarska, że katastrofę rozdęto do niebywałych rozmiarów.

Zdawało mi się, że mam pojęcie o siłach przyrody; wierzyłem, że wiedza jej zjawiska jeśli nie przewidzieć, to przynajmniej wyświetlić zdoła. Uwierzę raczej w historję Egiptu z hieroglifów skreśloną, raczej w prawdziwość każdego noża krzemiennego, w oryginalność każdego... wina szampańskiego, niż w jakąbądź teorję ostatniej katastrofy.

Widywałem dzielnice spalone, widziałem gruzy miasta po trzęsieniu ziemi; nie ma żadnego podobieństwa do szczątków Saint Pierre'u, które chyba dla kilku ścian sterczących ruiną zwać można.

Główna część miasta została literalnie z ziemią zrównana; to nie frazes utarty. Gdzieniegdzie dopatrzysz się ledwie fundamentu, obok ulicy, której gładki bruk kamienny pozostał nieuszkodzony. Mury zniesione, dachów ani śladu, cegły w proch starte, razem z popiołem ubite w klepisko, po którem stąpasz równo na wszystkie strony. Tu i ówdzie wystaje drzazga lub głownia, tam potkniesz się o gwóźdź, o blachy skrawek; czasem szkielet lub czaszka wyziera z ziemi. Kamienia na kamieniu nie znajdziesz — to pewna; wszystko zgładzone, zniwelowane.

Ogród publiczny zniesiony doszczętnie; z potężnych drzew i pnia nie zostało. Wody zniknęły; na dnie dawnej rzeki sączy się teraz brudna struga. Drogi spękane w głębokie bruzdy. Przystań, gmach latarni morskiej, bulwary spłukane, tak, iż miejsca ich nikt nie oznaczy.

W porcie maszt jedyny wystaje z wody, zdradza, że i tu żywioł śmierć posiał.

A pod tą zbitą masą popiołów i szczątków, leży trzydzieści tysięcy ciał ludzkich, raczej szkieletów, bo gdzieżby ciała śród żaru, popiołu i wody ostały się dotąd? A na dnie morza, w mule szarym tkwi kilka setek topielców.

Co się tu stało? Nikt nie wie dokładnie i nikt wiedzieć nie będzie. Są tylko ślady, że ogień, woda i jakiś wicher bajeczny znęcały się, i to nie raz tylko, nad miastem; trzy żywioły sprzysięgły się, by znieść wszystko, co kryło czwarty — ziemię nagą.

Zagłada w Saint Pierre nie ma równych w historji, nawet w podaniach. Zniszczenie Sodomy było równie bezlitośne, a bardziej może doszczętne, pozbawione śladów; legendowe to zapadnięcie się w ziemię, nie było jednak dziełem wulkanu. Zburzenie Pompei ma bliższe podobieństwo; ale tu katastrofa nie była tak bezwzględna dla ludzi, ani dla miasta. Zginęła tylko część mieszkańców, zostały tysiące świadków nieszczęścia; ostały się mury, sprzęty, całe ulice. W Saint Pierre wszystko skruszone, zmiecione; nie został jeden człowiek żywy.

Nikt? Owszem, jest jeden taki wyjątek... To nie bajka, choć zakrawa na nią, lub na cud rzekomy. Murzyn, nazwiskiem Józef Silbarys, a przezwiskiem Sonson (obyczaj tutejszy), został za jakąś awanturę i pobicie osadzony na kilka dni w ciemnicy (*cachot*). Z całego gmachu więzienia ocalała właśnie owa komórka, wmurowana głęboko i zasklepiona; w niej znaleziono jedyną istotę żyjącą. Cztery dni, od 8 do 12 maja, więzień czekał wyzwolenia, poparzony w sposób okropny. Wyciągnięty wreszcie, został uleczony przez proboszcza (!) z niedalekiej osady Morne Rouge i dotąd tam przebywa; dziś jeszcze nosi szkaradne blizny. Postradał biedak sporą dozę zdrowego rozsądku; niech usłyszy wyraz Saint Pierre, zaczyna się śmiać głupowato *).

Ten człowiek, oczywiście, nic nie widział, ani rozumiał, co się na zewnątrz działo. Że góra pękła od straszliwej eksplozji podziemnej — nie ulega wątpliwości. Wyleciały miljony głazów rozżarzonych, które pryskały, jak pociski, paliły i zabijały. One też zapewne rozgrzały atmosferę tak, że oddychanie sprawiło śmierć ogólną. Pociechą dla krewnych i przyjaciół ofiar jest przeświadczenie, że uległy one zaduszeniu prawie nagłemu, że wszelkich dalszych okropności nie doświadczały. Niepewna i ta pociecha.

Poznałem kolonistę z najbliższej osady Prêcheur, dokąd dosięgła katastrofa, zniszczywszy ją w połowie. Gdy chmury dymu okryły niebo, pamiętnego poranku 8 maja, w sam dzień Wniebowstąpienia, on i jego rodzina siedzieli w domu. Jedno tylko dziecko wyszło po wodę do rzeki, o jakie dwadzieścia kroków. W tem krzyk się rozlega. Dziecina biegnie; ubranie w płomieniach, na ciele rany. Ugaszono, ratowano — naprózno: biedactwo po trzech godzinach wyzionęło ducha.

Widziałem robotnika z okolic Rivière Blanche; na piersiach i brzuchu ma blizny z oparzenia, szczególnego rodzaju. W chwili katastrofy uczuł się jakby trafiony przez iskrę; instynktownie przypadł do ziemi — i ocalał.

Wszyscy dotknięci w podobny sposób, lub znajdujący się w obrębie niezwykłego zjawiska (oczywiście poza miastem St. Pierre, którędy przeszedł jego środek) utrzymują, że w chwili kulminacyjnej widzieli jakby wirujące ogniki, niby głownie obracane szybko w różne strony; nie były to błyskawice, które wyraźnie odróżniano. Po za tem nic widać nie było; dym gęsty zaćmił światło dzienne; przez parę godzin siedziano przy lampach. Tylko grzmot odległy, huk i trzask dopełniały grozy.

Czy można twierdzić z pewnością, że w St. Pierre wszyscy zostali odrazu zabici? Znaleziono trupy ludzi, zaskoczonych widocznie w biegu; tu śmierć była natychmiastowa. Ale czy nie było i żywcem upieczonych, jak owe dziecko, albo przysypanych?

Nie tutaj miejsce na rozprawy. Pragnę tylko zaznaczyć, że istotnego wyjaśnienia przyczyny katastrofy nie ma zupełnie, a i przebieg nie wszędzie da się wytłómaczyć. Miejscami zdaje się, że jakiś cyklon niebywały zmiótł domy i drzewa; rozsypała je i pokładła w jednym kierunku niepojęta siła (na skraju miasta zniszczenie nie jest tak doszczętne). Tu ręczyłbyś, że był pożar długotrwały; grube kloce i deski spalone na żużel, belki żelazne zgięte, skręcone, butelki szklane stopione. Tam wiotkie krzewy, gałązki ledwie opalone.

W środku miasta, gdzie zagłada największa, rzecz oryginalna: na popiołach, na gruzach domu rozrzucone maszyny do szycia, jakby je ktoś po katastrofie rozsypał, nie uszkodzone, tylko zardzewiałe.

. . . .

Idziemy we czterech doliną Saint Pierre; towarzyszą mi komendant Fort de France i paru strażników **). Wiadomo bowiem, że w ruinach grasują opryszki, szukający pieniędzy. Rozlegają się tam nieraz i strzały — podobno tylko dla postrachu.

— Panie — mówi mój towarzysz — byłem na wojnie pruskiej biłem się pod Sedanem. Słowo honoru, pobojowisko, jęki rannych nie zrobiły na mnie takiego wrażenia, jak widok tego miasta w parę dni po wypadku.

— Przybyliśmy na ratunek lub pogrzeb. Ratować nie było kogo; et, tego nicponia w kozie. Pogrzebaliśmy niewielu, osób kilkaset; co do reszty, wyręczył nas wulkan. Gdybyś pan widział te trupy! Każdy zwęglony, brzuch pęknięty, wnętrzności wyparte na wierzch. A powietrze!

— Był ze mną pewien Włoch; naparł się pomagać. Ledwieśmy wylądowali, załamał ręce i ryknął płaczem, jak dzieciak. Jestem tu po wypadku raz dziesiąty; zmieniło się dużo, a jednak nie mogę patrzeć obojętnie na ten widok, choć nikogo bliższego nie straciłem.

— O, patrz pan, komendancie — wołam, gdyśmy dochodzili końca miasta — oto dom całkiem nietknięty; nawet okna i drzwi całe. Są więc i ocaleni!

— W tym domu mieszkał profesor Landes, członek komisji naukowej, która orzekła, że wulkan nie jest niebezpieczny. Pogrzebaliśmy go razem ze wszystkimi mieszkańcami domu.

Smutno mi się zrobiło. Uczony ten zginął, jako ofiara własnego błędu. Mniejsza o niego. Ale to zbrodniarz: trzydzieści tysięcy dusz ma na sumieniu!

Czytałem raport urzędowy owej delegacji; treść jego — że miasto St. Pierre niema się czego obawiać, że produkty wulkaniczne mają nawet w razie wybuchu naturalne ujście do morza i t. p.

Boleśnie mi było bardzo, jako jednemu z pachołków tej wiedzy. Rozumiem lekarza, który w groźnych objawach choroby uspakaja, lub który nie wiedząc, co radzić, jednakże coś zapisuje. Ale nie pojmuję uczonego, a tem mniej grona uczonych, które nie śmie czy nie chce wyrzec: nie wiem!

Czyby nauka ucierpiała, nie wdając się w proroctwa? Nie, zyskałaby raczej. Ale nie zyskaliby może jej kapłani, podobni do owych profesorów komisji: ucierpiałaby ich powaga. I dlatego nie wahają się tłumom, wyczekującym ze drżeniem, z ufnością ich wyroczni, rzucić słów, które śmierć przyniosły. Tak się mylić uczonym nie wolno.

Ofiarą ich padł i główny zarządca wyspy, gubernator Mouttet, wraz z małżonką. Udał się on do St. Pierre, aby osobistym przykładem wpłynąć na uspokojenie ludności; chciał poprzeć zdanie swych wysłanników.

. . . .

Dziwne w czasie katastrofy działy się rzeczy. Więzień ocalony w środku spustoszenia; mieszkańcy zabici w domu nienaruszonym i dlaczego nienaruszonym, gdy obok, na prawo, na lewo proch i ruina? Nie tknął go ani pożar, ani cyklon, ani popiół, ani gazy...

Wstępujemy na wzgórza, okalające miasto. I na nich ślady ognia lub całun popiołu. Jak oko sięgnie, zniknęły plantacje lub pozostały zwiędłe łodygi. Będzie mniej cukru z Martyniki, mniej rumu... Bank jej nadwerężony, cierpi i giełda w Paryżu. Kto wie, czy przedsiębiorcza myśl nie stworzy ubezpieczeń od wulkanów...

Gdzież koniec spustoszenia? Tam na zakręcie drogi coś się zieleni. Ach przecie! Idźmy prędzej. Ależ tak, odtąd łany bujne, ogrody nieprzejrzane, tylko ludność przerażona je porzuciła.

Patrzę — i nie rozumiem znowu. Na owym skręcie stoi krzyż drewniany, jak w mojej wiosce rodzinnej. U stóp jego leży gruby, strzaskany słup telegraficzny; zerwany drut zaczepił się na krzyżu. Na prawo pustynia, znać tylko, że były plantacje; na lewo morze zieleni faluje od wiatru. Obok, przy drodze, jakieś szczątki: oś żelazna, koło, strzępy skóry; to powóz rozbity.

Tutaj około krzyża dziwnym sposobem zatrzymała się katastrofa.

— Muszę panu opowiedzieć szczególne zdarzenie — rzecze mój towarzysz, gdym stanął wodząc niepewnym wzrokiem po tem wszystkiem.

— Niedaleko stąd, w Morne Rouge, zamożniejsi kupcy St. Pierre mieli swe wille, skąd dojeżdżali do miasta. Ósmego maja, mimo chmury popiołu, znalazło się kilku śmiałków, którzy jechali tą drogą: między innymi Laserre i Simonet z Saint Pierre; za nimi dążyli bracia Caminade. Oto resztki powozu Laserre'a; on sam ocalał wraz z przyjacielem; ci, co byli w tyle, zginęli bez śladu. Wybuch przeszedł akurat w tej granicy, do tej linji, jak uciął. Hm, przeznaczenie...

Słyszałem, a nie rozumiałem. Więc istniała nawet linia katastrofy, ścisła jej granica; tu śmierć, o krok życie! tu ogień i orkan tajemniczy, o krok dalej przyroda w całej świeżości!

. . . .

Wesoło było w Morne Rouge, przy obiedzie. Znalazła się tam i misja naukowa francuska, pod przewodnictwem p. Lacroix, no — i pani Lacroix, która zawsze mężowi towarzyszy. Poncz, potem dania liczne i rozmaite, jak w Paryżu i dobre wino francuskie... Rad byłem memu towarzystwu, ale myśl błądziła gdzieindziej. Korciła mnie ta „linia katastrofy", ten widok spustoszenia. Wymknąłem się na drogę, do krzyża i ruin. W godzinę byłem na zakręcie góry, gdzie droga spuszcza się do Saint Pierre.

Słońce zachodziło. W promieniach jego jaśniał krzyż, a na nim figura Chrystusa; głowę zwiesił, wzrok utkwił tam, gdzie zielone łany. O krzyż uderza drut zerwany, brzęczy, a wtóruje mu szelest cichy; strzęp papieru szamocze się obok na drzewie.

Na papierze wielkie litery reklamy:

„Au sans pareil"... Martinique.

— *Sans pareil* — czytałem i spoglądałem to na figurę, to na okolicę. Szczątki pojazdu, spalone trzciny; opodal, w głębi, panorama miasta — jedna płowa masa kamienna.

Chrystus nie patrzy w tę stronę.

Jam patrzył, słuchał — i zdało mi się, że majaczę...

Dość o tem, bo i wy tak pomyślicie, lub posądzicie mnie, że opowieść piszę budującą.

To pewna, żem nie myślał o badaniach przyrodniczych. Co za studjum dla malarza.

Zeszedłem na dół. Ściemniało się prędko, jak wszędzie pod niebem zwrotnikowem. Samotnie sterczał dom jeden pośród gruzów. Szemrała z cicha Roksolana. Zapach spalenizny dochodził chwilami, to zalatywała woń trupia. Szczątki miasta pałały jeszcze spiekotą dzienną. Potknąłem się o coś; szczęk ostry. Czaszka? Nie, to flaszka: „Rhum vieux — St. Pierre"...

Zabłysło światełko. Drgnąłem.

— Duchy, czy rabusie?

— To już za wiele nadzwyczajności.

Mignęła iskierka przedemną, druga obok; zapalały się, gasły; plejada gwiazdek wokoło, istna iluminacja.

— Ach wiem. Rzecz naturalna — to owady fosforyczne, niby nasze robaczki świętojańskie. Jakże one świecą!

Obejrzałem się. Za mną, w obłokach stał przyczajony zdrajca, Mont Pelée.

Dalej iść nie mogłem. Bo i po co?

Gdyby było po co, takżebym nie poszedł...

Ksaw. Sporzyński.

*) W percie i skraju miasta ocalono jeszcze dwie osoby, których zeznania są tu uwzględnione.

**) Tu muszę wyrazić szczerą podziękę gubernatorowi Martyniki, panu Lhuerre, za okazaną mi życzliwość i udzielenie wszelkich środków komunikacyj.

117

SZLACHETNY MŚCICIEL.

Powieść z francuskiego.

W tej chwili twarz chorej rozjaśniła się i zaczęła prosić:

— Opowiedz prędko, najdroższe, opowiedz.

Wtedy Regina opowiedziała wszystko co postanowili i dzień minął na tworzeniu najrozmaitszych projektów.

Wieczorem przyszedł pan Langlais, Klara zaraz zwierzyła ojcu wszystko, pewna, że nie będzie stawiał przeszkód temu, od czego czuła, że życie jej zależy.

Rzeczywiście, bankier nie śmiał sprzeciwiać się, zaledwie odważył się napomknąć, że przed takiem ważnem postanowieniem, wartoby się zastanowić; Klara jednak zamknęła mu usta pieszczotą i pocałunkami.

A skoro wieczorem Klara usnęła, pan Langlais wziął Reginę na stronę i wybadał na serjo.

Regina powiedziała mu wtedy o stałym zamiarze Piotra Le Louarn, proszenia o rękę Klaruni.

Zdziwił się nieco pośpiechem młodego człowieka, który nie czekał na wyzdrowienie chorej, lecz Regina wyjaśniła, że oddawna znała ich tajemnicę i że dlatego mówiła Piotrowi, aby nie zwlóczył, wierząc w to, że zadowolenie przyśpieszy powrót do zdrowia Klary, że wreszcie desperacki list tej ostatniej, zdecydował ją do działania bez straty czasu.

Bankier tedy uspokoił się i przyrzekł zaraz jutro pomówić z żoną.

Jak tylko dowiedział się nazajutrz, że pani Langlais już nie śpi, poszedł do niej i na zadziwienie żony, co go sprowadza tak rano, rzekł:

— Pozwolisz, że zacznę od najważniejszej rzeczy; chodzi bowiem o przyszłość naszego dziecka.

— Oh! — odezwała się ze skrzywieniem — czy znowu o Klarze mowa i znowu o nowym doktorze?

— Nie... Dzięki Bogu. Klarunia zdrowsza i nawet według zdania doktora, prawdziwe polepszenie nastąpiło.

— Tem lepiej — odpowiedziała Solange niedbale; — więc o co chodzi?

— O jej małżeństwo — rzekł pan Langlais i urwał, takie gwałtowne zdziwienie odmalowało się na twarzy żony.

— O jej małżeństwo? — wykrzyknęła, — chyba rozum straciłeś? Jak można mówić o małżeństwie chorego dziecka?

— To też nie ja jej o tem mówiłem, lecz ona sama, kochana moja pieszczocha zwierzyła mi się...

Tym razem pani Langlais wybuchnęła śmiechem.

Mąż czekał na uspokojenie napadu wesołości.

— Szczęśliwa jesteś, Solange, — rzekł wkońcu — że masz jeszcze odwagę śmiać się w ten sposób. Przyznam się, że ja nie mam serca... Traktujmy zatem tę kwestję poważnie o ile można najkrócej...

— Najpierw — odezwała się — chciałabym wiedzieć nazwisko kandydata. Być może, że go nawet nie znam...

— Znasz go, Solange, lepiej niż ja, przynajmniej tak sądzę. Jest to Piotr Le Louarn.

Cofnęła się, a twarz jej trupio zbladła i wykrzywiła się wstrętnie.

— Z tego małżeństwa nic nie będzie... nic być nie może — wyrzekła.

— Zastanów się Solange, a życiu naszej córki decydujesz w tej chwili, i że...

— Już się zastanowiłam, — przerwała ostro — nigdy nie dam mego przyzwolenia, a jeżeli Klara i ty będziecie chcieli bez niego się obejść, potrafię i temu zapobiedz.

— Przynajmniej powiedz mi, jakie są powody tej niwytłómaczonej niechęci? — zawołał Prosper przerażony?

— Nie — odpowiedziała pani Langlais — gdyż życzę sobie, żebyś nigdy nie znał tych powodów.

Bankier znał żonę, wiedział, że nic z niej nie wydobędzie, lecz zanim odszedł, powiedział tylko:

— Niech i tak będzie, potrafię jednak zasięgnąć objaśnień z innych źródeł. Lecz uprzedzam, jeżeli nic poważnego nie dowiem się przeciw temu młodemu człowiekowi, pomimo twojej woli, małżeństwo to przyjdzie do skutku.

Wzruszyła ramionami z pogardą i pozwoliła mu odejść.

Na korytarzu bankier spotkał Reginę oczekującą z niepokojem skutku rozmowy.

— A więc tak, moje dziecko — odpowiedział pan Langlais na nieme zapytanie jej oczu — jak powinniśmy się byli spodziewać, żona moja oparła się stanowczo, jak każdemu projektowi, odemnie pochodzącemu. Jednak nie wszystko jeszcze stracone. Sam zgłębię tę kwestję i sam ją zdecyduję, jeżeli ona uprze się przy odmowie.

Ułożyli się tedy, że Klarunia musi poczekać kilka dni na stanowczą odpowiedź.

Do Piotra zaś, Regina wyjawiając mu całą prawdę, napisała co następuje:

„Dobry mój Pietrze, dotąd jesteś przyjęty przez pana Langlais, a odrzucony przez jego żonę. Wojna wypowiedziana: czekajmy, a przedewszystkiem bez nagłych postanowień; Regina cię o to błaga...".

IX.

Oko w oko.

A więc opór Solange, dotykając śmiertelnie Klarę, mógł uwolnić Reginę od rywalki i zwrócić Piotrowi wolność.

Lecz takie pozbycie się tej rywalki nie odpowiadało szlachetnej duszy młodej dziewczyny.

Nie chciała zdobywać szczęścia za cenę życia Klary i z bohaterską rezygnacją wyrzekła się szczęścia dla siebie.

Chciała przynajmniej, żeby jej kuzynka z niego korzystała.

Piotr także był zrezygonowany i mając przykład z Reginy, nigdy się nie skarżył.

Zamykał oczy przed wspomnieniem pierwszej miłości wymarzonej.

Przysiągł, że poświęci życie dla szczęścia dziecka, którego miłość jego była ostatniem ocaleniem, a uśmiech radosny tego dziecka, jakim rozjaśniła się piękna twarzyczka po dowiedzeniu się o jego postanowieniu, był pierwszą nagrodą za szlachetność.

Będzie kochał Klarę, o ile mu na to pozwoli wspomnienie tamtej...

Zdumiał się też niepomiernie, trafiwszy na niezłomny opór pani Langlais.

Prawdę powiedziawszy, odmowa matki nie była przeszkodą do małżeństwa, kiedy pan Langlais się na nie zgadzał, a przyzwolenie ojca zawsze więcej znaczy.

Lecz Piotr był dumny i nie mógł zgodzić się na cośkolwiek coby mu uwłaczało.

Nie znając przeszłości Solange, nie mógł pojąć jej zachowanie, ani powodów uporu.

Dał poznać Reginie stan swojego serca, a była to dla niej straszna pokusa.

Jeżeli Piotr usunie się od Klary, do niej powróci naturalnie. Miłość jego nie zamarła, nie była nawet przyćmiona.

Chcąc być posłusznym energicznej dziewczynie, syn Jana i Poli nakazał milczenie sercu, lecz takie wysiłki są po nad siły człowieka.

Piotr przez odmowę czuł się zwolnionym z obowiązków względem Klary, a także z posłuszeństwa dla Reginy.

Regina zaś widziała niebezpieczeństwo... Czy znajdzie dość siły aby nakazać Piotrowi dotrzymania zobowiązań?

Wpierw nim pszyjdzie z nim do wyjaśnień, powzięła awanturniczy zamiar.

Chciała zobaczyć się z ciotką i otrzymać gwałtem od niej przyzwolenie.

Spotkanie nastąpiło w pokoju pani Langlais.

Solange była w złem usposobieniu i kwaśno przyjęła siostrzenicę.

— Po coś tu przyszła? — zapytała. — Pewnie jeszcze o Klarze będziesz mówić!

Regina z całym spokojem zamknęła drzwi za sobą i zbliżywszy się do ciotki, odezwała się poważnie:

— Tak, ciotko, o Klarze, gdyż chodzi tu o jej życie.

— O jej życie? — mruknęła, odwracając się, żeby nie widzieć oczu dziewczyny, utkwionych w siebie. — O jej życie? Czy chcesz, żebym uwierzyła, iż życie i zdrowie Klary zależy od połączenia jej z tym bastardem?

Regina, pomimo całego spokoju, nie mogła powstrzymać drżenia. Krew uderzyła jej do głowy i zaróżowiła czoło i policzki.

— Ten bastard, jak mówisz ciotko, ma najszlachetniejsze serce i jest najdzielniejszym chłopcem, jakiego znam.

Solange wykręciła się na piętach z obrażającym śmiechem.

— Dlaczego sama nie weźmiesz go za męża?

(Ciąg dalszy nastąpi).

Odpowiedzialny za redakcję: Adam Krajewski. Właściciele i wydawcy: Dr. Ostaszewski Barański, Milski i Sp. Z drukarni M. Schmitta i Sp. pod zarządem St. Piotrowskiego.